Serya III. Grudzień 1895. Nr 12.

LISTY I PRZESYŁKI ADRESOWAĆ NALEŻY:
DAWN
7, Beaumont Square.
Mile End Road
London E.

PRZEDŚWIT

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC
Przedpłata roczna wynosi: 4 s. — 4 m. — 5 fr. — 1 dol.
w kopertach: 5 flor. — 4 r.s.

CZASOPISMO SPOŁECZNO-POLITYCZNE
ORGAN ZWIĄZKU ZAGRANICZNEGO SOCYALISTÓW POLSKICH

CZY JESTEŚMY GOTOWI?

Jak rzeka, która, wezbrawszy nagle, pozarywa brzegi i z szumem rozlewa swe nurty po równinie, niszcząc wszelki opór, tak kroczył międzynarodowy ruch socyalistyczny w ciągu ostatnich lat pięciu. Z wyjątkiem jednej chyba Rosyi niema w całej Europie kraju, w którym by siły socyalistyczne nie wzrastały od roku 1890 w sposób niesłychany, nie dający się porównać z wszystkiem tem, cośmy dawniej widzieli. Obok jednej dawniej silnej frakcyi socyalistycznej niemieckiej, stanęła francuska i belgijska, a Włochy, Dania, ba, nawet Bulgarya idą w ślady swych poprzedników i nauczycieli; kraje, które dawniej uważano za twierdze burżuazyi, czy to konserwatywnej, czy też demokratycznej, jak Szwajcarya lub Bawarya, przesiąknięte są obecnie naszemi zasadami, a chłopi, mający swemi twardemi czaszkami rozbić nasze piersi, z entuzyazmem podnoszą czerwoną chorągiew. Nie było pozycyi, która by nie czuła się zagrożoną przez socyalizm i powiedzieć można było, że maluczko, a stare społeczeństwo runie pod zwycięskim naporem świadomego proletaryatu. Rzecz niewidziana w historyi — zwycięstwo jednej klasy nad drugą bez użycia siły brutalnej, przy pomocy jedynie planowego i konsekwentnego zużytkowania tych środków, które konstytucye krajów europejskich dają robotnikowi, — zaczęła nabierać coraz więcej prawdopodobieństwa.

Ale, żeby dojść do wyznaczonego sobie celu, nie wystarczała wytrwałość i energia, której najgorsi nieprzyjaciele odmówić nam nie mogą, trzeba było jeszcze utrzymać Europę w tym stanie względnego spokoju, w jakim ona się znajduje od czasu wojny francusko-pruskiej. Każda wojna robiłaby trudne do naprawienia wyłomy w systemie redut i okopów, którymi systematycznie, w coraz szybszem tempie, otaczano pozycye nieprzyjacielskie. Nawet wojna taka, której rezultaty skądinąd mogłyby być korzystne dla proletaryatu, nie była dlań pożądaną, gdyż dziesiątkowała jego siły, dawała nieprzyjacielowi do ręki cały aparat stanów oblężenia itp. środków, nie mogących być użytymi w czasie pokoju, w razie zaś starcia między proletaryatem a rządem, nawet osłabionym i zdemoralizowanym przegraną kampanią, czyniła wygraną zależną od mnóstwa nie dających się z góry przewidzieć okoliczności. Wojna stanowi obecnie najpotężniejszy atut w ręku klas posiadających, oręż, który co prawda może i przeciwko nim się obrócić, ale który w każdym razie, dopóki partye socyalistyczne trzymają się wyłącznie dzisiejszej taktyki, w najwyższym stopniu jest dla nich niebezpieczny. Nic zatem dziwnego, że wszystkie one z całą, na jaką je stać było energią, zwalczały wszelką myśl starcia wojennego.

Ale logika rozwoju kapitalistycznego ma to do siebie, że jednocząc proletaryat międzynarodowy, wytwarza jednocześnie przeciwieństwa interesów wśród burżuazyi różnych krajów, przeciwieństwa, które tylko oręż może rozstrzygnąć, i zatem pominąwszy nawet chęć załatwienia się z wrogiem wewnętrznym, która tyle razy już pobudziła klasy rządzące do rozpoczęcia wojny „narodowej", wystarcza już sam normalny bieg wypadków dla wywołania zawikłań międzypaństwowych.

W zaraniu takich zawikłań znajdujemy się obecnie, jeżeli wolno sądzić, że analogiczne sytuacye muszą prowadzić do jednakich wyników. Chwile „chorego człowieka" z nad Bosforu są, o ile się zdaje, policzone i wkrótce zapewne nad jego grobem rozpocznie się taniec orężny chciwych łupu sąsiadów, dramat, w którym Rosya bez wątpienia pierwszą rolę odegra. Wypadki z przed roku 1877-go powtarzają się na naszych oczach z dokładnością fotograficzną. Miejsce „Bischen Herzegowina" (odrobiny hercegowińskiej) zajęli ormianie, obok których podnosi gło-

wę Macedonia, Kreta, Syrya. Codziennie dowiadujemy się, że w jakimś zakątku państwa tureckiego niewinne, jak nowonarodzone dzieci, jagnięta chrześciańskie potrafiły tak zamącić wodę, że krwiożercze wilki mahometańskie musiały ukarać je w sposób, który nawet najbardziej zdecydowanemu przyjacielowi Turcyi musi wydać się zanadto drastycznym. Potężna organizacya prasy moskalofilskiej wszystkich krajów ozdabia od roku wszystkie te rzezie tyloma ponurymi obrazami, że nerwy europejskiej opinii publicznej ostatecznie odmawiają posłuszeństwa i ze wszystkich stron rozlega się okrzyk : „e'crasez l'infame !“ (trzeba zniszczyć nikczemnika !). Anglia, państwo najbardziej zainteresowane w utrzymaniu przy życiu Turcyi, nie tylko ze względu na Indye, o które kramarz angielski zadrży tylko wtenczas, gdy zostaną bezpośrednio zagrożone, ale z powodu olbrzymich korzyści handlowych, nawet ta Anglia, ze swym obecnym rządem turkofilskim, widziała się zmuszoną wziąć udział w demonstracyi flot europejskich, skierowanej przeciwko Turcyi. Jednem słowem, powtarzają się wypadki roku 1876 : bunty chrześcian, krwawe represye mahometańskie, oburzenie opinii europejskiej, nacisk na Turcyę w celu zmuszenia jej do reform, obietnice takowych i.... fatalne niedotrzymanie obietnic. Tragizm sytuacyi polega bowiem na tem, że monarchia turecka nie jest w stanie o własnych siłach zaprowadzić jakiekolwiek zmiany w prowincyach zamieszkanych przez ludność mieszaną : mahometanie będą się im opierali ze wszystkich sił, a rząd centralny nie ma ani możności, ani ochoty, do przełamania ich oporu. Jest to błędne koło, z którego wyjściem - interwencya którego z sąsiadów. Rosya wie o tem bardzo dobrze, dlatego tak zuchwale domaga się ona polepszenia losu chrześcian tureckich, które byłoby najgorszym figlem, jaki Turcya jej spłatać może.

Czy ostatni akt tej tragikomedyi nastąpi zaraz, czy za rok albo dwa, tego przewidzieć niepodobna, ale należy być przygotowanym na rychły podział państwa tureckiego. I właśnie przy tym podziale w całej swej potędze wystąpi na jaw sprzeczność interesów państw zainteresowanych, których przedstawiciele obecnie pozorną jednomyślność przed światem wykazują, jak to czynili lord Loftus i Gorczakow w r. 1876. Usadowienie się Rosyi w Małej Azyi, a tembardziej na półwyspie bałkańskim byłoby jednoznaczne z jej hegemonią na wschodzie Europy, czego ani trójprzymierze, ani Anglia dozwolić nie mogą.

Jesteśmy za tem w przededniu wojny ; i chociaż w wojnie tej będzie szło o panowanie nad odległymi krajami wschodnimi, ale rozstrzygnie się ona nad brzegami naszej Wisły. Operacya chirurgiczna, mająca przeciąć rozrastający się do potwornych rozmiarów wrzód militaryzmu, odbędzie się na naszem żywem ciele, setki tysięcy proletaryuszy polskich padną jej ofiarą, a od jej wyniku zależ ć będzie rozwój naszej partyi przez długie, może niezmiernie długie lata.

A teraz przenieśmy się wzrokiem na Zachód. I tu zbierają się czarne chmury, grożące wypadkami, które radykalnie mogą wstrząsnąć dzisiejszym rozwojem ruchu robotniczego, stawiając takowy oko w oko z dylematami zupełnie nieprzewidzianymi. Ostatnie wypadki berlińskie wykazują że to ciągłe brzęczenie szablą, które dotychczas wydawało się tylko śmieszną przechwałką, odwoływanie się do armii, zachęcanie jej do nieszczędzenia ani ojca ani matki w razie potrzeby, — może zamienić się w odpowiednie czyny. Reakcya poznała, zdaje się, bezowocność środków dotychczasowych i chce sprobować innych, które wydają się jej słusznymi. „Legalność nas dusi“ — wołali rządcy Francyi w r. 1850, a Napoleonowi udało się w rok potem, wyszedłszy z granic legalności, utopić we krwi zmowę, która przerażała burżuazyę francuską. Czy się znajdzie obecnie mocarstwo, które by miało odwagę powtórzyć eksperyment z przed pół wieku i czy się on przy dzisiejszym stanie ruchu robotniczego może udać, to przyszłość pokaże, ale musimy pogodzić się z myślą, że grożą nam poważne przejścia.

I wobec całej tej zawieruchy, która wisi nad nami, i która tuż, za progiem, może się znajdować, zadajmy sobie pytanie, czy my socyaliści polscy, jesteśmy na wszystko przygotowani ?

Niestety, odpowiedź nasza musi brzmieć : — nie, nie jesteśmy gotowi, i w razie gdyby stosunki polityczne przybrały nagle obrót, wymagający z naszej strony akcyi stanowczej, to nie my byśmy panowali nad wypadkami, ale wypadki nad nami.

Przedewszystkiem, brak nam organizacyi rewolucyjnej, bez której, bądź co bądź, zbrojny ruch proletaryatu byłby dziś ryzykowny. Jakkolwiek bowiem gawędy o niezwalczonej potędze magazynówek, bomb melinitowych, granatów i szrapneli współczesnych w wysokim stopniu są przesadzone, jednak nikt chyba nie zaprzeczy, że organizacya państwa, szczególniej armii, dosięgła dziś ogromnie wysokiego stopnia doskonałości, że zatem potrzeba nielada przygotowania, by módz się z niem zmierzyć.

Liczna i bardziej, niż kiedykolwiek scentralizowana policya, żandarmerya, przenikająca we wszystkie zakątki życia społecznego, armia ogromna i zalegająca przedewszystkiem polskie prowincye, uzbrojona doskonale, system kolei żelaznych, dróg, telegrafów i telefonów, pozwalający skoncentrować ze znaczną szybkością siłę zbrojną

w punkcie zagrożonym — i wiele, wiele jeszcze innych zasobów posiada państwo współczesne, a chcąc je zwalczyć nie dość jest mieć po swej stronie entuzyazm mas, ale trzeba módz je uzbroić i nakarmić, zbadać dokładnie organizacyę nieprzyjacielską, wreszcie wytworzyć organizacyę swoją własną, tajną, a jednak na tyle potężną, by wybuch zbrojny i przetrzymanie się przez pewien czas nie były zupełną fikcyą.

Otóż wiemy wszyscy bardzo dobrze, że nie tylko nie posiadamy podobnej organizacyi, ale nawet nie podobna myśleć o tworzeniu takowej przy dzisiejszych warunkach. Po prostu żadnemu z nas myśl powyższa nie przyjdzie do głowy, a gdyby i przyszła, to napotkałaby na stanowczy opór ze strony towarzyszy.

Ale co jest przy tem ciekawe, to stanowcza różnica, jaka pod tym względem istnieje między usposobieniem masy proletaryatu polskiego, a jego zorganizowaną częścią — partyą socyalistyczną. Gdy my nie czujemy się dzisiaj na siłach rzucić rękawicę rządowi i wystąpić do boju o śmierć i życie, masy tymczasem nie zastanawiają się bynajmniej nad ilością karabinów magazynowych i dział gwintowanych, ale śmiało występują do walki o swe prawa, gdy się tylko sposobność po temu nadarzy. Już w lutym 1883 lała się krew na ulicach Żyrardowa, robotnicy byli mordowani przez żołdactwo moskiewskie, a jednak w dwa lata potem, 2 marca 1885 r., w Warszawie, na placu Zamkowym, w obecności oberpolicmajstra i całej chmary żołnierzy odbywa się demonstracya robotnicza, w tym samym Żyrardowie krew znowu się leje w r. 1891, w rok potem strejkuje cała Łódź i kilkadziesiąt trupów zalega jej ulice, rok rocznie powtarza się święto majowe pomimo mobilizowania całych korpusów armii, wreszcie przed paru miesięcami porzuca pracę 26.000 robotników białostockich, nie licząc tych niezliczonych, drobniejszych starć, podczas których proletaryat nasz naraża się na nahajki i spisy kozackie. E pur si muove — można powiedzieć o proletaryacie polskim, on wciąż powstaje, nie zrażony cierpieniami oraz śmiercią męczeńską tylu ofiar.

Powie kto, że czem innem jest zbrojna rewolucya, czem innem strejk w rodzaju poprzednio opisanych, — zapewne, ale czy śmierć podczas strejku różni się czemkolwiek od śmierci na polu bitwy, a czyż którykolwiek z uczestników strejku masowego u nas, jest z góry zapewnionym, że sprawa nie zakończy się krwawo? Zaiste, że nie, a pomimo tego proletaryat nasz nie wypuszcza z ręki oręża, nie skłania głowy pokornie przed nahajem kozackim i kułakiem fabrykanta. I ta właśnie gotowość do męczeństwa za dobrą sprawę, ten niczem nie dający się powstrzymać ciągły rozwój polskiego ruchu robotniczego pozwalają nam przypuszczać, że nastrój proletaryatu naszego wcale nie jest tak pesymistyczny, jak by można sądzić, gdyby brać pod uwagę tylko poglądy, wygłaszane przez większość członków partyi na szanse ruchu zbrojnego.

Czy to rzecz zmienia? Oczywiście, że tylko w pewnym stopniu. Lud śmiały i pełen wiary w siebie stanowi pierwszy warunek powodzenia każdego ruchu rewolucyjnego, ale jest zawsze tylko jednym z warunków, i jeżeli robotnicy polscy nie obawiają się rządu, to fakt ten bynajmniej jego sił nie zmniejsza oraz nie zastępuje tych przygotowań, bez których rozpocząć walki nie możemy, których jednak dotychczas nie zrobiliśmy.

Ale zastanówmy się, od czego jest zależne przystąpienie partyi naszej do robienia owych przygotowań? Otóż nie mówiąc już o tem, że krok tak poważny nie mógłby być zrobiony przez jakąkolwiek partyę bez wszechstronnego rozpatrzenia, przytem jednak może on być dokonany tylko za zgodą znacznej większości członków partyi Tymczasem wiemy wszyscy, że dzisiaj myśli tej większości w inną zupełnie stronę są zwrócone, brak zatem warunku podstawowego, bez którego zaznaczona powyżej zmiana w taktyce nie jest możliwa.

Nie myślimy bynajmniej wpływać na natychmiastową zmianę panującego dzisiaj nastroju. Jeżeliśmy wskazali na większy stopień wiary w swe siły u mas robotniczych, niż u świadomej części naszego proletaryatu, to szło nam tylko o dodanie otuchy tym, którym siła państwa dzisiejszego odbiera wszelką wiarę w możność rozpoczęcia ruchu rewolucyjnego. Ale z drugiej strony nie przypuszczamy, by nastrój dzisiejszy wiecznie miał istnieć, a wzrastające coraz bardziej niebezpieczeństwo wciągnięcia nas nawet pomimo naszej woli w wir wypadków politycznych czyni pożądanem większą gotowość na wszelkie ewentualności ze strony naszej organizacyi.

I tu sądzimy, że dotychczasowy rozwój naszego ruchu socyalistycznego stanowi najlepszą rękojmię przyszłości. Jeżeli ograniczymy się tylko na rozpatrzeniu stosunków, panujących pod zaborom rosyjskim, to zauważymy, że dotychczas P. P. S. miała do zwalczania przeszkody wewnętrzne i braki organizacyjne. A jednak nie przeszkodziło jej to rozszerzyć swą działalność na tyle punktów, niedawno jeszcze nie objętych propagandą socyalistyczną Obecnie zaś po uporządkowaniu zupełnem stosunków wewnętrznych naszego stronnictwa, ta ostatnia część roboty musi rosnąć i potęgować się bez ustanku, a wzmocnienie zrozumienia celów i zadań organizacyi w naszych własnych szeregach pozwa-

lają nam rozwinąć szerszą, niż poprzednio, działalność na zewnątrz.

A potrzeba takiej działalności daje się czuć na każdym kroku. Nie zapomnijmy, że część naszego programu, omawiająca taktykę partyi, zawiera cały szereg kwestyi, które dotąd rzadko tylko były poruszane. Były tam rozpatrywane różne sposoby walki z rządem, których dotychczas nie praktykowaliśmy wcale, które jednak nieubłagalna konieczność podsuwa na każdym kroku. Jest dalej określony stosunek nasz do towarzyszy rosyjskich, do Litwy i Rusi, co wszystko pociąga za sobą obowiązek przystąpienia do odpowiedniej akcyi politycznej z chwilą, gdy siły to dopuszczają. Wogóle, hołdując zasadzie, że przyznanie się stanowi pierwszy krok do poprawy, powiedzmy sobie, że wiele mamy jeszcze do zrobienia, jeżeli chcemy, by ów wspaniały plan akcyi politycznej, który naszkicowany jest w naszym programie, nie pozostał czczą literą.

A z chwilą, gdy robota nasza rozszerzy się, gdy obejmie pola dotąd nie ruszane, wtedy powstanie u nas poczucie siły. Wtedy możliwą się też okaże zmiana naszej taktyki, gdyż w szeregach naszych żywiołowo będzie musiało powstać dążenie do zużytkowania tej siły. Wtedy dopiero organizacya nasza stanie rzeczywiście na wysokości zadania, jakie nam i przeszłość historyczna i położenie geograficzne na barki wkładają, a żadna burza polityczna nie będzie mogła wyrządzić nam szkody, nawet przemijającej.

Więc bierzmy się ochoczo do dzieła. Ze zdwojoną energią, odpowiednią do groźnej chwili, którą przeżywamy, ale z niezachwianą wiarą w przyszłość przystąpmy do tego nowego okresu naszego życia rewolucyjnego, a może już niedaleka przyszłość pozwoli nam zerwać owoce całej naszej dotychczasowej pracy.

AMERYKA

(List Czwarty)

New-York, w listopadzie 1895 r.

I.

Wrzesień był u nas istnym miesiącem sejmów i sejmików kilku polsko-amerykańskich organizacyi. I tak m. Cleveland w Stanie Ohio było świadkiem sejmu XI „Związku Narodowego Polskiego“ oraz „Niezależnego Kościoła“, w South Bend, Indiana, odbył się sejm „Zjednoczenia Polsko-Rzymsko-Katolickiego pod Opieką Błogosławionego Serca Jezus“; w Toledo, Stan Ohio, miał miejsce sejm „Ligi Polskiej“, a w Buffalo, Stan New-York, zjechali się delegaci na sejm „Unii Katolickiej“, dyrygowanej przez księży Mejera i Pittassa. Jeżeli kiedykolwiek, to w tym roku owe sejmy dają wyborny pogląd na życie i kierunek duchowy polskiego wychodźtwa w Stanach Zjednoczonych.

Sejm jedenasty z rzędu, „Związku Narodowego Polskiego“, najdonioślejszy w skutkach swych i najobfitszy co do powziętych uchwał, odbył się w dniach 9 do 15 września w Cleveland w obecności 121 delegatów, reprezentujących 94 grup oraz dwóch gości europejskich, zaopatrzonych w mandaty „Związku Wychodźtwa Polskiego“, mianowicie pp. Zygmunta Balickiego i d-ra Karola Lewakowskiego, posła m. Lwowa w parlamencie austryackim. Obrady, trwające 6 dni, zajmowały się prócz spraw organizacyjnych głównie kwestyą „Skarbu Rapperswylskiego“, przyczem wzmiankowani goście europejscy niejednokrotnie głos zabierali.

Jako jeden jeszcze żywy dowód, że u naszych polsko-amerykańskich patryotów i prowodyrów emigracyi pieniężne sprawy są ową piętą Achillesa, należy tylko przytoczyć wyciąg ze sprawozdania komisyi, wyznaczonej z łona sejmu do zrewidowania ksiąg finansowych za czas od 18 sierpnia 1893 do 19 sierpnia 1895 roku. Z niego wynika, że sekretarz jeneralny, p. Małłek, prowadził księgi w najlepszym razie niedbale. Można pójść dalej i orzec, że niedbałość w rachunkach instytucyi, obracającej znacznymi funduszami, jest nawet dowodem niesumienności.

„W rachunkach kasyera z ostatnich dwóch lat w terminie wyżej podanym wpłynęło do kasy Związku N. Polskiego 141.055 dol. 39 ct. i w tym samym czasie wypłacono 129.457 dol. 86 ct., z czego więc na korzyść, w rubryce dochodu, pozostaje reszty 11.597 dol. 53 ct. Gotówka ta dodana do pozostałości 18 331 dol. 38 ct., będącej w posiadaniu Związku od 18 sierpnia 1893 r., czyni razem sumę 30.928 dol. 91 ct. Exposee eksperta z tym rezultatem obrachowania z ksiąg kasowych najzupełniej się zgadza. Dziwnem się jednakowoż wydaje, że i sprawozdanie p. Małłka, pomimo innych dochodów i rozchodów, w tym okresie wykazanych, również sumę 30.928 dol. 91 ct. wskazuje. A mianowicie: w sprawozdaniu sekretarza jeneralnego, p. Małłka, wykazano za ostatni dwuletni okres w dochodach 140.864 dol. 49 ct. Rozchód zaś w tymże samym czasie 129.266 dol. 96 ct. Różnica na korzyść dochodu w sumie 11.597 dol. 53 ct., dodana do pozostałego z 19 sierpnia 1893 r. funduszu żelaznego w wysokości 9.865 dol. 2 ct. i funduszu obrotowego w wysokości 9.466 dol. 36 ct., przedstawia znowu kapitał w sprawozdaniu kasowem jeneralnego sekretarza pod datą 17 sierpnia 1895 r. w sumie 30.928 dol. 91 ct. Zestawiwszy sumy dochodów, zaczerpniętych z ksiąg rachunkowych kasyera, a potwierdzonych najserdeczniejszą zgodnością eksperta, ze sumami dochodów w sprawozdaniu sekretarza jeneralnego, ob. Małłka, uderza różnica, wynosząca 180 dol. 80 ct.“

Komisya rewizyjna czyni następującą uwagę: „Komisya rewizyjna dalej była tak niegrzeczną, że przeczytała protokóły z posiedzeń Rządu Centralnego z pierwszych posiedzeń po zniknięciu Morgensterna. Wysoka Izbo! Komisya rewizyjna z odczytanych protokółów posiedzeń Rządu Centralnego przyszła do ugruntowanego przekonania, że Wysoka Izba dobrze zrobiła zarzucając sprawę Morgensterna, — ale Wys. Izba jeszcze lepiej zrobi, jeżeli publicznie zagwarantuje nietykalność i nieodpowiedzialność Morgensternowi, aby tylko się zgłosił i swojem cennem świadectwem zmusił prawdziwych przestępców do oddania Związkowi powierzonych im przez niego walorów.“ Ów pan Morgenstern był sekretarzem jeneralnym Z. N. P. przed urzędowaniem p. Małłka. Pewnego pięknego dnia ulotnił się, z 15.000 dol. do znanej krainy uciekinierów złodziejskich, Kanady.

Sprawozdanie sekretarza z funduszów „Skarbu Narodowego w Milwaukee, Wis., pozostającego pod opieką „Związku Narodowego“, brzmi, że na Sejmie X było

2.864 dol. 29 ct.; przybyło w ciągu dwu lat 531 dol 96 ct., dziś znajduje się w Skarbie 3.396 doł. 25 ct.

Książki rachunkowe sekretarza „Zgody“, organu urzędowego Z. N. P., wykazują, że pismo to drukuje się w 8.300 egzemplarzy, z których 1.564 egz. wysyła się darmo, z czego 150 do Europy. Deficyt „Zgody“ w przeciągu ostatnich lat dwu doszedł do wysokości 994 dol. 24 ct.

Ciekawe ustępy znajdują się w sprawozdaniu prezesa Rządu Centralnego, Adalin F. Satałeckiego, zredagowanego w kwiecistym stylu, jakim się tak chętnie posługują narodowcy polsko-amerykańscy.

„Po sejmie X. gdy powtórnie dostąpiłem zaszczytu być wybranym na Prezydenta Z. N. P., pierwszą moją myślą, pierwszem mojem usiłowaniem dla dobra naszego narodu była sprawa naszych braci to jest robotników polskich, a mianowicie postarać się o polepszenie ich bytu materyalnego, ich egzystencyi, o obronę przed wyzyskiem kapitalizmu; oto czego pragnąłem i gdy na 1-szem posiedzeniu Rz. Cen. odczytaną została odezwa pol. robotników, podana na Sejmie X, popierałem ich żądania jako słuszne i dowodziłem, że tej sprawy zaniedbywać nie można, że powinniśmy zająć się nią gorliwie i sumiennie. Sprawa ta została odroczoną i niestety nigdy na stół nie przyszła“.

„Popierając Skarb Narodowy w Rapperswylu nie możemy zapomnieć, że my polacy, w Ameryce, tem więcej możemy uczynić dobrego dla swej ojczyzny, jeżeli potrafimy zyskać sympatye u amerykanów, jeżeli potrafimy wywalczyć tutaj w Ameryce polityczne stanowisko i dobrą egzystencyę materyalną. Jak do jednego tak i do drugiego potrzeba, aby Skarb Narodowy istniał także w Ameryce i aby służył jedynie na potrzeby i cele polaków w Ameryce, jak np. dla szerzenia oświaty, na potrzeby polityczne, dla utrzymania Domu Zw., kolonii polskich, zakładów przemysłowych itp. pożytecznych celów. Z tych przeto zasad, byłem i jestem zdania, aby tak dobrze Skarb Rapp., jak i Skarb Narodowy w Ameryce popierane były i aby złożona na Skarb Narodowy suma w pewnym czasie w połowie była odsyłaną do Skarbu w Rapperswylu, a druga połowa do ogólnego Skarbu Nar. w Ameryce“.

„Wolna ziemia pod gwiazdzistym sztandarem St. Zjednoczonych Ameryki, ta ziemia oblana krwią Kościuszki i Puławskiego, ta ziemia, dla której ideałem ma być bezwzględna wolność, swoboda, — zhańbioną została po wszystkie wieki przez zawarcie traktatu z wrogiem wolności, z ideałem samowładztwa i niewoli, z barbarzyńską Rosyą, naszym katem. Co za dzikie połączenie! Co za wstretne małżeństwo! Dla nas, polaków, ten traktat, był jednym więcej cierniem w koronie męczeństwa, ale był hańbą dla naszych braci amerykanów, u których gościnność znajdujemy. A więc hańbę amerykanów, my polacy także pośrednio uczuć musieliśmy — albowiem wydawanie przestępców politycznych, to wspólnictwo w ucisku, w męczeństwie i niewoli, to bogini wolności brata się z boginią tyranii, aby gnębić swobodę! Wszyscy polacy, a nawet dobrze myślący amerykanie z oburzeniem na ów wstrętny czyn starali się zmazać tę swoją hańbę i ów traktat zniweczyć. Niestety, szlachetne te usiłowania niektórych amerykanów i naszych braci polaków rozbiły się o nieczułe serca osobiście zainteresowanych, lub przedajnych senatorów i demokratycznego samolubnego prezydenta.

„Co do ‚Zgody‘ — ponieważ to jest organ należący do wszystkich Związkowców, wyrażający impuls życia Związkowców, i wobec 7.000 członków, wobec ciągłego powiększenia się Związku, organ Związkowy winien być postępowy, winien być pismem europejskiem z zakresem polityczno-naukowym, uważam przeto, aby sejm specyalną sumę na podniesienie redakcyi organu przeznaczył, a sumą tą ma prawo rozporządzać w porozumieniu z Rz. Centr. redaktor.

„Kwestya niezależnych polaków jest kwestyą obchodzącą ogół polski. Związek nie powinien rozdziałów robić pomiędzy braćmi, ale owszem przygarniać każdego prawego polaka, aby polacy, którym dano nazwę niezależnych, mieli wstęp do Z. N. Pol. jako polacy.

„Dzień Polski, Wystawa Lwowska, uroczyste uczczenie stuletniej rocznicy powstania Kościuszki, było głównie dziełem Rz. Centr. Pragnęliśmy bowiem pokazać światu, a szczególniej naszym wrogom, że Polska nie zginęła, że Polska żyje w naszych sercach, że się staramy i pracujemy o odzyskanie naszych praw, celem wyswobodzenia z niewoli naszej ojczyzny. Wszystko czyniliśmy co było w naszej mocy, aby te obchody wypadły najświetniej, aby nimi zaprotestować całemu światu za jego obojętność przy morderstwie i grabieży nieszczęśliwego ludu polskiego, aby zarazem uwydatnić żywotność, siłę i ducha narodowego tej Polski, która z mapy świata została wykreśloną.

„Dla rozpowszechnienia wiadomości między amerykanami o polakach, dla pozyskania bratniej sympatyi posłaliśmy do szkoły kadetów w West Point, N. Y., podczas uroczystości dnia Kościuszkowskiego 500 medali z wyobrażeniem stuletniej rocznicy i 500 broszur z życiorysem naszego bohatera Kościuszki. Za wydanie owych medali byłem mocno krytykowany, że zbytecznie szafuję funduszami Związku, jednakże sądzę, że ten wydatek opłaci się nam, gdy zyskamy 1500 amerykanów, którzy kiedyś będą kierować losami Ameryki, w każdym razie był dowód, że owe medale zostały przez sztab i kadetów uszanowane, bo przy złożeniu wieńca komendant przypinał na pierś każdego kadeta“.

„Protestowaliśmy także przeciwko morderstwu dokonanemu w Krożach przez moskali na naszych braciach. Za naszem staraniem odbyło się żałobne nabożeństwo w kościele św. Trójcy w Chicago, a na moją odpowiedzialność prosiłem, by Zgoda wydrukowała i rozesłała do Europy i do wszystkich grup związkowych Litanię Pielgrzymską.

„Pewna część Polonii w Chicago wpadła na dość szczęśliwą myśl połączenia wszystkich polaków w Ameryce w jedno ciało, w jedną Ligę, w celu dokonania prac dla dobra ludu polskiego, to jest dla jego oświaty, dobrobytu, oraz w celu oswobodzenia ojczyzny. Zwołany został w tym celu wiec, na którym miała być wypracowaną konstytucya Ligi. Projekt był w istocie pięknym i szlachetnym i gdyby został zbudowany w tym celu, jak pierwotnie głoszono, gdyby Liga miała służyć rzetelnie dla dobra całego narodu i ojczyzny, to bez żadnych uwag obowiązkiem każdego dobrze myślącego polaka byłoby przystąpić do owej Ligi, wszyscy jak jeden mąż, i podjąć się prac, jakie w tem wielkiem dziele okazałyby się potrzebnemi. Niestety, z dużej chmury mały deszcz. Myśl wielka, idea wspaniała, ale gdy przyszło do wykonania tej myśli szlachetnej, już w przygotowanym projekcie spostrzegłem, że tam bynajmniej nie chodzi o dobro ogółu, o dobro polskiego ludu w Ameryce, a bynajmniej nie dla ojczyzny, ale o poparcie pewnej partyi nieprzyjaznej Związkowi. Był to wyraźny zamach stanu na Związek i dość długo potrzeba było czasu, by przekonać własnych braci związkowych o niebezpieczeństwie, które zagrażało naszej drogiej instytucyi. Nie będąc popartym od Rz. Centr. zmuszony byłem zwołać wszystkich delegatów chicagoskich i z poza obrębów na nadzwyczajne posiedzenie z Rządem Centralnym i po długich debatach uznali, że moje zapatrywania były słuszne i aby natychmiast odezwa od Rz. Centr. była wystosowaną do wszystkich grup, aby były na baczności, że Liga jest stworzoną na to, aby zachwiać naszą instytucyę, albo ją zupełnie zniweczyć. Dlatego, jakkolwiek wielu z delegatów

związkowych a nawet sz. cenzor udali się na wiec, jednakże przekonali się naocznie o całej machinacyi, o widocznej przewadze głosów partyi klerykalnej i delegaci wraz z sz. cenzorem opuścili Ligę".

Pan Satalecki musiał wysłuchać gorzkich słów prawdy, jakie wypowiadali mu delegaci za niedołęstwo okazane przy staraniach o uzyskanie dla organizacyi związkowej „charteru", zapewniającego bytowanie legalne i chroniącego członków pojedyńczych wobec prawa, w razie nieporozumień przy odbiorze t. zw. benefitów, które daje Związek.

Trzeźwiej już brzmi orędzie Cenzora Związku, p. Helińskiego, zawierające interesujące wskazówki. Wypowiedział się w niem także za przypuszczaniem do organizacyi każdego bez względu na przekonania i za ostrożnem traktowaniem kolonizacyi.

Powzięte przez sejm uchwały w sprawie domu związkowego, oświaty, czynnej obrony, kolonizacyi, skarbu rapperswylskiego i poprawek liberalnych w konstytucyi mogą być uważane za rezultat dwuletniej pracy redaktora „Zgody", p. Jabłońskiego. Nie odpowiadają one jednak w całkowitości oczekiwaniom lub pragnieniom jego. Delegaci, którzy stanęli po jego stronie, napotkali dosyć silną opozycyę i, w obawie narażenia organizacyi związkowej na szwank, zgodzili się na pewne ustępstwa. I tak podczas gdy życzeniem reprezentowanego przez „Zgodę", stronnictwa było, aby Związek stanowczo otrzymał od sejmu upoważnienie do wystawienia organizacyi własnego domu, w którym by się mieściła drukarnia i administracya „Zgody", sejm uchwalił w tej mierze tylko polecić stawianie podobnych domów w każdej większej kolonii, w której się znajdują grupy. Nie wiele uchwalono także w kwestyi systematycznej kolonizacyi emigrantów polskich. Przed sejmem ukazały się artykuły, wzywające związkowców do zajęcia się kolonizowaniem na wielką skalę. obiecywano sobie z tego złote góry, sądzono że Związek może się stać żywicielem tysiąca robotników polskich, nie mogących znaleźć chleba u suto zastawionego stołu burżuazyi amerykańskiej, widziano już nawet w duszy nową „Polskę w Ameryce", zamieszkaną przez zamożnych, szczęśliwych rolników, kpiących sobie z chronicznego przesilenia na rynku rolnym Stanów Zjednoczonych, ślepych na nędzę farmera-tubylca naokół siebie i konkurujących z wspaniałym a strasznym rozwojem maszyneryi na tem polu za pomocą lichego pługa „naszych ojców". Autorzy odezw tych i zawzięci obrońcy kolonizacyi rolniczej przez Związek nie zdali sobie na chwilę sprawy z rzeczywistego położenia ekonomicznego Ameryki, nie zastanawiali się wcale nad nicością pracy, przy której trzebaby dużo ofiar pieniężnych, aby tylko dać egzystencyę kilkuset ludziom. gdy setki tysięcy polskiego robotnika w Ameryce z coraz większym strachem oglądają się za owym zbawicielem, mającym im przynieść stałe zajęcie, a tem samem możność utrzymania się w chaosie gospodarki wielkokapitalistycznej, szerzącej tu dla proletaryatu śmierć i zniszczenie. Acz wśród ogółu delegatów sejmowych bardzo niewielu stało na tym szczeblu rozwoju umysłowego, aby potrafić układać sobie objawy życia. roztaczającego się wkoło nich, w logicznym porządku metody socyalistycznej, jednakże zapędy kolonizatorów rozbiły się o zimne przyjęcie, jakie spotkały na sejmie. Zdecydowano, aby obrana w tym celu komisya zbadała, o ile kolonizacya prowadzona, pod egidą „Związku", mogłaby liczyć na powodzenie, i zdała o tem referat na przyszłym sejmie. Debaty w tej kwestyi odsłoniły niewiarę w takie przedsiębiorstwa większości reprezentantów grup. Były Cenzor związkowy, p. F. Gryglaszewski, mocno zainteresowany osobiście tą rzeczą, jako ajent zajmujący się sprzedażą gruntów, ubiegał się bardzo usilnie o to, aby wymodz na sejmie pozwolenie zakładania polskich kolonii rolniczych pod opieką „Związku Narodowego", ale nieborakowi dano do zrozumienia w bardzo niedwuznaczny sposób, że „jeśli chce trudnić się kolonizowaniem, to i owszem — sejm XI wszakże uważa to za przedsiębiorstwo czysto prywatnej natury i za nie nie odpowiada".

Obrady nad kwestyą szerzenia oświaty pomiędzy masami wychodźtwa przez instytucyę związkową uwieńczone zostały wybraniem komisyi z 3 osób, mogącej czerpać nieograniczony fundusz na ten cel ze skarbu Z. N. P., oraz przyjęciem tej rezolucyi: „Zebrani na sejmie XI przedstawiciele Z. N. P., w głębokiem przeświadczeniu o skutecznym wpływie oświaty i dobrobytu na zachowanie narodowości polskiej, z całą siłą przekonania tego polecają braci Związkowej oświatę narodową i popieranie handlu i przemysłu polskiego. Celem prowadzenia ciągłej i ustawicznej pracy nad oświatą naszych współrodaków ustanawia się pod kontrolą Rządu Centralnego osobny Wydział Oświaty, którego zadaniem będzie zorganizowanie uniwersytetu ludowego na wzór miejscowych, zakładanie nowych i powiększanie istniejących czytelni, urządzanie popularnych odczytów, sprowadzanie pożytecznych książek, przedsiębranie tanich ludowych wydawnictw i wogóle zajęcie się gorliwem kształceniem braci naszej w Ameryce".

Pewne zmiany uczyniono w regulaminach o prowadzeniu ksiąg związkowych, o obowiązkach urzędników oraz w dotychczasowej ich płacy. Wyznaczono komisyę, mającą się porozumieć z różnemi organizacyami polskiemi w Stanach Zjednoczonych, śledzić ruch emigracyjny i przedłożyć następnemu sejmowi plan o domie emigracyjnym.

W sprawie polskiej uchwalono następującą rezolucyę: „Zebrani na sejmie XI w Cleveland O. przedstawiciele Związku Nar. Pol., jedynej prawdziwie narodowej instytucyi polskiej w Stanach Zjednoczonych Półn. Ameryki, przejęci ważnością chwili. obowiązków na nich ciążących względem biednej, rozszarpanej przez wiekowych swych wrogów ojczyzny, — niniejszem stanowczo i uroczyście protestują przeciw krzywdom, gwałtom i bezprawiom, dokonanym na nieszczęśliwym, a zawsze do wolności dążącym narodzie polskim, odwołują się do swobodę miłującego narodu wolnej Rzeczypospolitej Washingtona, wzywając go do okazania mu współczucia i pomocy moralnej, — i solennie zaznaczają, że żaden z tysięcznych szeregowców Związku, żaden prawy syn ojczyzny Polski nigdy nie pogodzi się ze zbrodnią, popełnioną na Polsce przed stu laty i nie wyrzecze się pracy w celu odzyskania jej niepodległości".

Gorące życzenie p. Jabłońskiego, aby sejm nałożył obowiązujący i stały podatek miesięczny na każdego członka Związku na rzecz „Skarbu Rapperswylskiego". i aby pozostające pod opieką Z. N. P. fundusze pod nazwą „Skarb Narodowy" w Milwaukee, zlano z kapitałami w Europie, nie znalazły aprobaty ogółu delegatów, a obrady toczone w tej mierze zajęły bardzo dużo czasu. nastroiły umysły dosyć wojowniczo i wykazały, iż związkowcy nie bardzo są skorzy do przyjmowania nowych zobowiązań. Musiano zgodzić się na kompromis i sejm przeszedł nad tem do porządku dziennego jednogłośnem przyjęciem następujących uchwał.

„Zebrani na sejmie XI przedstawiciele „Związku Nar. Pol". po długich, sumiennych i wyczerpujących debatach powzięli uchwałę, aby uznać Skarb Nar. Polski, złożony w Muzeum Narodowem w Rapperswylu, za jedyny Skarb Narodowy jednego i niepodzielnego Narodu Polskiego i, opierając się na tej uchwale obwieszczają niniejszem, że postanowili: 1) Skarb Narodowy Polski, zebrany w Ameryce, a pozostający pod opieką Związku Narodowego Polskiego, uznać i uważać za depozyt i część niepodzielną jednego i wspólnego Skarbu Narodu Polskiego, którym jest Skarb

w Rapperswylu ; 2) Odsetki od tegoż kapitału, jak również wszelkie wpływające nadal składki, odsyłać w oznaczonych odstępach czasu do Skarbu w Rapperswylu ; 3) Polecić gorąco całej braci Związkowej i wszystkim dobrze myślącym polakom takowy jedyny Skarb nasz Narodowy z całej siły popierać. Przeznaczeniem Skarbu Nar. Pol. jest : użyć zgromadzony fundusz w chwili stosownej na rzecz akcyi politycznej, dążącej do niepodległości Polski, a tymczasowo używać odsetki na obronę czynną. Związek Narodowy Polski, przelewając w zasadzie fundusze zebrane w Ameryce, ma prawo do naznaczenia odpowiedniego kontrolera lub kontrolerów".

Łączność swą z Europą a raczej ze „Związkiem Wychodźtwa Polskiego", zamanifestowano w rezolucyi: „Zebrani na sejmie XI przedstawiciele Zw. Nar. Pol. jednogłośnie uchwalili nawiązać ściśle i czynne stosunki ze Związkiem Wychodźtwa Polskiego w Europie, z którym nas łączą wspólne sympatye i cele". Wytyczną zaś programu politycznego w uchwale następującej : Zebrani na sejmie XI przedstawiciele Zw. Nar. Pol. niniejszem potwierdzają starą swą zasadę związkową, że do żadnych spraw i sporów religijnych mieszać się, jako instytucya, prawa nie mają i nie będą. To samo dosłownie tyczy się spraw polityki amerykańskiej. Jedyną polityką Związku, jako instytucyi narodowej, jest i będzie polityka ogólno-polska i popieranie ruchu narodowego, dążącego do odzyskania niepodległości".

Sejm potwierdził raz jeszcze protest przeciwko traktatowi pomiędzy rządami Stanów Zjednoczonych a Rosyą, odnośnie do wydawania przestępców politycznych i uchwalił, by zarząd Związku wystosował odpowiedni memoryał do przyszłego kongresu Stanów Zjednoczonych.

W num. 39 b. r. „Zgoda" podaje szczegółowiej umowę, zawartą ze „Związkiem Wychodźtwa" :

„Na piątkowem posiedzeniu Rządu Centr. del. Balicki wniósł uchwaloną na sejmie X, a potwierdzoną jednogłośnie na sejmie XI, w Cleveland sprawę łączności czynnej naszej instytucyi z pokrewną nam duchem i dążeniami organizacyą Związku Wychodźtwa Polskiego w Europie. Po dłuższych i sumiennych obradach Rząd Centr., kierując się głębokiem poczuciem szczerego patryotyzmu, jednogłośnie na wniosek pierwszego wice-prezesa ob. Błaszczyńskiego zamianował redaktora „Zgody" stałym swym przedstawicielem do utrzymywania stosunków ścisłych z Wydziałem Wykonawczym Zw. W. P. Zadaniem przedstawiciela jest utrzymywanie regularnej korespondencyi urzędowej z Wydziałem, komunikowanie mu ważniejszych uchwał Rządu w sprawach ogólno-polskich, oraz podawanie inicyatywy Wydziałowi w zakresie tychże spraw. Z drugiej zaś strony przedstawianie Rządowi Centr. sprawozdania z utrzymywanych stosunków i czynności Związku Wychodźtwa Polskiego oraz przedkładanie Rządowi Centr. lub komisyi oświaty przedłożeń i projektów Wydziału dotyczących wspólnych przedsięwzięć i wydawnictw. Co do ostatniej kwestyi del. Balicki przedstawił kilka określonych projektów, które wchodzą w zakres naszego komitetu oświaty".

Przy debatach o „Skarbie Rapperswylskim" poruszono kwestyę „obrony czynnej". Interpelowany o wytłomaczenie, co trzeba pod tem rozumieć, dr. Lewakowski odpowiedział, że „jest to praca ciągła, stale odporna przeciwko walce o naszą zagładę, którą wrogie nam zabory wypowiedziały, na programie wcale niema obecnie walki zaczepnej, prowokacyjnej". Mimo takie wyjaśnienie, mało jeszcze osób pojmuje znaczenie „obrony czynnej" i rozmaici ludzie rozmaicie ją sobie tłomaczą.

Komitet dla poprawek w konstytucyi polecił sejmowi wykreślenie kilku paragrafów z tejże, w których dotąd zapewnioną była uległość „Związku" dla interesów kościoła katolickiego oraz nietolerancya względem żywiołów rewolucyjnych lub nieoddanych bezwarunkowo władzom kościelnym, sprawiło to niemały popłoch na sali. Jedni, postępowe skrzydło p. Jabłońskiego, wołali, że inaczej organizacya związkowa nie będzie miała prawa nazywać się polską i że nie potrafi się należycie rozwijać ; drudzy przepowiadali Związkowi rozbicie i upadek, skoro by przyjął do swej konstytucyi tak radykalne zmiany. Wobec pogróżki żywiołu klerykalno-zachowawczego, że wystąpi z organizacyi, oraz wobec chwiejności i tchórzostwa niektórych postępowców ci, którzy chcieli pchnąć „Związek" na drogę postępu i tolerancyi, musieli się zgodzić na ustępstwa i przynajmniej wytargowali tyle, że wyrzucono kilka mniejszych artykułów, zbyt rażących wiernopoddaństwem dla kościoła rzymskiego a co najważniejsza, wykreślono osławiony § 6 art. III, traktujący o socyalistach i innych „istach". Godnem uwagi jest, że przy pierwszem głosowaniu nad nim oświadczyło się z pośród 121 delegatów 78 za wykreśleniem. W tej liczbie delegacya z Chicago, składająca się z 30 osób, jednogłośnie była za wykreśleniem. W opozycyi do kierunku liberalnego wiedli rej : p. Władysław Welzant, wydawca „Polonii" w Baltimore, (obecnie dziennik), typowy polsko-amerykański szynkarz i handlarz polskich głosów na usługach partyi demokratycznych kapitalistów amerykańskich, dalej niejaki Modest Maryański, sługa księży, karczmarz Konopiński z New-Yorku i — „last but not least", redaktor „Polonii" w Cleveland, renegat, ex-anarchista i pseudo-socyalista, a wogóle niedołężne indywiduum, pan Łucyan Dewoyno.

W pierwotnem swem brzmieniu takim był ów § 6 art. III : „Żaden członek Z. N. P. nie może należeć do jakichkolwiek anarchistycznych, socyalistycznych, nihilistycznych lub jakichkolwiek stowarzyszeń tajnych, a przez kościół rzymsko-katolicki potępionych." Postępowcy wypracowali w miejsce tego paragrafu następujący ustęp : „Związek N. P. przyjmuje każdego polaka, zgadzającego się na obowiązującą konstytucyę, a noszącego w swem sercu szczerą chęć służenia sprawie publicznej, *bez względu na jego przekonania polityczne, społeczne i religijne*". Wobec jednakże groźby odpadnięcia od „Związku" troskliwych o dobro swego kościoła katolików, dołączono następujący dodatek :

„Ponieważ jednak wiara rzymsko-katolicka jest panującą wiarą w narodzie polskim, przeto wszelkie nabożeństwa, zamówione urzędownie przez Związek, mają się odbywać w kościele rzymsko-katolickim. Członkowie grup, którym konstytucya ich nakazuje wypełniać obowiązki religijne, są zobowiązani wiernie przy niej obstawać".

W ten sposób, który można nazwać dowcipnym, złagodzono radykalizm, pogłaskawszy gorliwych katolików, i liberalne skrzydło zdołało przeprowadzić swój wniosek jednogłośnie, acz jeden i drugi konserwatysta stroił jeszcze kwaśne miny na sali obrad. Toż „Wiara i Ojczyzna" ze strasznym przekąsem zwraca uwagę, że tak sformułowany paragraf zwalnia niepobożnych związkowców od wszelkich obowiązków, wkładając takowe na kark grupom i jednostkom religijnym. Już na kilka tygodni przed zebraniem się sejmu, gadzinowa prasa klerykalna z tąż „Wiarą i Ojczyzną" na czele, z rzekomej pieczołowitości o dobro „Związku" zaklinała takowy na wszystkie świętości, aby nie stał się bardziej jeszcze bezbożnym, aby pod żadnym warunkiem nie przyjął na swe łono wrogów katolicyzmu i narodowości, przepowiadając inaczej organizacyi rychły upadek. Teraz po sejmie pieni się taż prasa z bezsilnej wściekłości. Według niej Z. N. P. jest obecnie zbiorowiskiem masonów, anarchistów, socyalistów a nawet kryminalistów, acz co do tych ostatnich, to najwięcej znaleść ich można przy redakcyach pism

klerykalnych. W dalszym ciągu biada ona nad mającem wkrótce nastąpić rozbiciem organizacyi związkowej i grozi tym, którzy by chcieli doń wstąpić, ekskomunikacyą i zemstą niebios. Tymczasem Związek jakoś się nie rozpada, ale owszem wzrasta w członków i nowe grupy, a starzy związkowcy stoją wiernie przy sztandarze swej instytucyi. Redakcya „Zgody", napadnięta przez wrogi obóz, dała mu w kilku ostatnich numerach tego pisma dobre cięgi. Na tem wszakże winna tę bezowocną polemikę ukończyć i zbywać dalsze zaczepki stronnictwa, przykrywającego swe egoistyczne dążności i interesy płaszczykiem katolicyzmu, milczeniem pogardy. Panu Jabłońskiemu można wogóle życzyć nieco mniej wrażliwości na krytykę tak swych własnych ideałów, jak celów „Związku". Obawa względem nieprzyjaznej krytyki nie świadczy o dojrzałości i harcie politycznym.

Przy wyborach urzędników związkowych, dotychczasowy cenzor, p. T. M. Heliński został ponownie na swem stanowisku. Jest to człowiek prosty ale w ogólności przyzwoity i widocznie szczerze oddany interesom swej organizacyi. Redaktorem „Zgody" został nadal obrany przez aklamacyę pan F. H. Jabłoński. Sekretarzem generalnym, w miejsce pana Małłka, wybrano redaktora i wydawcę „Echa" w Buffalo pana I. M. Sadowskiego, posiadającego niezłe wykształcenie i kwalifikacye na tę posadę. Niefortunnym można zwać obór wice cenzora w osobie p. W. Welzanta z Baltimore, człowieka bez inteligencyi nawet miernej i bez charakteru. Siedzibą „Rządu Centralnego", zawiadującego sprawami „Związku", pozostało mimo opozycyi Chicago. Natomiast w skład jego weszły nowe i zdolniejsze osobistości. Należenie doń doktora Kodisa, powinno gwarantować bezpieczeństwo w Z. N. P. wstępującemu teraz żywiołowi radykalnemu. Sejm przyszły odbędzie się za dwa lata w Filadelfii

Niepodobna ominąć milczeniem przykrej okoliczności, że towarzyszący obradom sejmu chaos na sali, spowodowany został rażącą nieznajomością u delegatów elementarnych reguł parlamentarnych i to mimo, że wśród nich był spory zastęp osób inteligentnych, a nawet kilku lekarzy i adwokatów.

Tydzień przed otwarciem sejmu w Cleveland Komitet Wykonawczy Z. O. P. S. P. R. w Stanach Zjednoczonych wystosował odezwę następującej treści, opublikowaną w „Zgodzie". Przyczyniła się ona także w pewnej mierze do przyjaźniejszego usposobienia delegatów w sprawie przypuszczania socyalistów.

„List Otwarty
do Szan. Delegatów XI Sejmu
Z. N. P. w Cleveland O.

New York, dnia 19 sierpnia 1895 r.

Szanowni Panowie i Rodacy!

Związek Oddziałów Polskich Socyalistycznej Partyi Robotniczej w Stanach Zjednoczonych polecił swemu Komitetowi Wykonawczemu na zjeździe odbytym w dniu 10 lutego r. b. w New Yorku pod Nr. 64 E. 4 ej ul., aby wystosował do delegatów XI Sejmu Z. N. P. w Cleveland list, wzywający ich do wykreślenia z konstytucyi związkowej paragrafu, wzbraniającego przystępu do Związku ludziom, wyznającym zasady nowoczesnego ruchu socyalistycznego. W myśl tego, Komitet Wykonawczy, będąc przedstawicielem oddziałów w Buffalo, Philadelfii, New Yorku, Brooklynie, Jersey City, N. J. i Newarku, N. J., postanowił na swem posiedzeniu odbytem w niedzielę dn. 18-go b. m. pod N. 64 E. 4-ta ul. w New Yorku wysłać niniejszy list otwarty na ręce Redakcyi „Zgody" w Chicago, z prośbą o umieszczenie go w łamach organu urzędowego Związku Narodowego Polskiego oraz o odczytanie tegoż przy obradach nad poprawkami w konstytucyi Z. N. P., które prawdopodobnie będą włączone do porządku dziennego sejmu w Cleveland.

„Uważając Waszą organizacyę, Szan Panowie i Rodacy, za ciało, które przedewszystkiem ma stać na straży interesów tak moralnych, jak materyalnych emigracyi polskiej w Stanach Zjednoczonych, a w dalszym ciągu za ciało mające walczyć na korzyść niepodległości ziem polskich w Europie, przyznajemy sobie prawo obywatelstwa w szeregach Z. N. P., gdyż i my działamy w imię tych haseł. Jeżeli zachodzi różnica w poglądach naszych, a poglądach Waszych Sz. Panowie, odnośnie do interesów narodowościowych, to nie mogą one stanowić przeszkody w walce o byt narodowy, w walce tak o swobody polityczne jak religijne i gospodarskie, którą wspólnie toczyć jesteśmy zmuszeni bez względu na sprzeczne w niektórych punktach zapatrywania.

„Jeżeli Sz. Panowie szczerze pragniecie działać dla dobra ludu polskiego, jeśli szczerze pragniecie działać na korzyść „buntu" narodowości polskiej — przeciwko uciskowi wszelkiego rodzaju, jaki dręczy nas pod wszystkimi trzema zaborami, natenczas nie macie prawa odrzucić nas członków tej samej partyi socyalistycznej, której druhy zapełniają w strasznym boju z caratem lochy więzień rosyjskich, Sybir, cierpią katorgę, której szeregowcy więzieni są wciąż pod zaborem pruskim i austryackim i to w ogromnej większości za t. zw. przestępstwa polityczne, czyli za domaganie się pełnych swobód narodowościowych, religijnych i społecznych od rządów, które chcą wytępić, znieść z powierzchni tego świata naród polski!

„Żyjemy w kraju, którego rząd gwarantuje każdemu mieszkańcowi swobodę sumienia i wolność działania dla pewnych idei i celów na drodze pokojowej. Rząd St. Zj. uznaje tak samo polityczną partyę socyalistyczną jak polityczną partyę republikańską, demokratyczną i populistyczną. Skoro zaś Z. N. P. przyjmuje członków bez względu na ich przynależność do jakiejkolwiek partyi politycznej to trzymając się zasady sprawiedliwości, nie możecie odrzucić polaka dla tego jedynie, iż takowy uznaje cele partyi socyalistycznej za lepsze od celów partyi republikańskiej lub demokratycznej.

„Jesteśmy członkami tej samej partyi, której przedstawiciele zasiadają w parlamencie wszystkich cywilizowanych krajów Europy, i która liczy zwolenników na dziesiątki milionów. Jesteśmy żołnierzami tej samej armii, której niemieckie i austryackie skrzydło chce *czynnie* dopomódz w przyszłości do odbudowania wolnej i niezależnej *Polski ludowej.*

„Aby Was Sz. Panowie i Rodacy naocznie przekonać, iż cele nasze i drogi w niczem nie sprzeciwiają się konstytucyi organizacyi, jaką jest Związek, dołączamy do niniejszego listu 1 egzemplarz platformy i konstytucyi naszej.

„W razie gdybyście Panowie uznali za stosowne zamknąć i nadal dla socyalistów wstęp do Z. N. P., natenczas weźmiecie na siebie odpowiedzialność, jeśli my i zwolennicy nasi, których liczymy pomiędzy narodowością polską na setki — a którzy w liczbę wciąż rosną z każdym rokiem, rzucimy się w objęcia podobnych do Związku anglo-amerykańskich instytucyi *asekuracyjnych*, które mimo że mają większość członków, nie należących do klasy robotniczej, przyjmują jednakże każdego obywatela Stan. Ziedn. bez względu na jego przekonania polityczne, religijne i społeczne. — Udowodnicie również wtedy, iż nawet najlepsza i najzdrowsza część emigracyi polskiej w Ameryce, z której się składa Związek Narodowy Polski, nie dorosła jeszcze do tego, aby żyć pod urządzeniami politycznemi, jakie posiadają dotąd Stany Zjednoczone! — Kończymy zapewnieniem, iż jakikolwiek będzie rezultat żądań, które złożyliśmy w tym liście, znajdziecie nas zawsze

gotowych do walki o zdobycie dla narodowości polskiej możności pełnego rozwoju, oraz do pracy nad zapewnieniem wychodźtwu polskiemu ludzkiego bytu".

Całokształt prądów, jakie się uwydatniały na sejmie Z. N. P. , które jeszcze przypuszczalnie około lat 10 będą miały dominujący wpływ na działalność tegoż, zbliżonym jest mocno do ideałów oraz interesów „Związku Wychodźtwa Polskiego". Tu jak i tam upatruje się ratunek dla sprawy polskiej w demokratycznem mieszczaństwie i akcentuje obronę interesów konglomeratu, zwanego ludem. Tu i tam oglądają się ze strachem przy samem wypowiedzeniu słowa o „obronie czynnej" i wzdrygają się wyraźnie takową określić. Oba związki, a szczególnie odłam amerykański, widzą dziś jeszcze w ideałach demokratyzmu polskiego szóstego lat dziesiątka, ostatni wyraz postępu i z wielką trudnością przychodzi im się zastosować do zmiennego ducha czasu. Demokraci po obu stronach oceanu Atlantyckiego błądzą po dziś dzień w ciemnościach co do tego, jakich środków trzeba będzie użyć i gdzie należy szukać sojuszników dla sprawy niepodległości Polski. A demokraci w amerykańskim Z. N. P. okazują tę jeszcze nieprzebaczalną doprawdy naiwność, iż ogłaszają zasady konstytucyi 3 Maja za najwyższy szczyt pragnień narodu polskiego i spodziewają się od ewentualnego urzeczywistnienia praw, straconych lat temu 100 z górą, istnego raju dla szczęśliwców — polaków! Nie można się też dziwić, skoro inteligentny odłam wychodźtwa polsko-amerykańskiego żyje teraz jeszcze w ideałach 18 wieku i epoki porozbiorowej, że i niewykształcony robotnik lub chłopek polski, wyrosłszy tu „na pana", uważa za najwyższy objaw swego patryotyzmu kult bohaterów wojskowych ubiegłego stulecia i pierwszej połowy wieku dziewiętnastego. W taki sposób można sobie wytłomaczyć niesmaczne zjawisko, że kolonie polskie Stanów Zjednoczonych zasypane są towarzystwami imienia Kościuszki i Puławskiego, a nawet Jana III Sobieskiego, gdy równocześnie o wybitnych indywidualnościach na polu polskiej wiedzy, literatury i sztuk pięknych okresu nowszego nikt nie wspomina. Stąd też przeciętny amerykanin, nie obeznany z historyą narodowości polskiej lat ostatnich, a obserwujący życie tego wychodźtwa musi sobie wyobrażać że z Kościuszką i Puławskim, że na czci miecza, ostrzonego temu 100 lat, skończyła się kultura polska, i że geniusz narodowy niczego więcej godnego uwagi nie wydał. Inny duch też nie wstąpi do „Związku Narodowego" Ameryki Północnej, zanim tutejsi polscy socyaliści nie zdołają zdobyć sobie energiczniejsze siły robotnicze w szeregach tej organizacyi, zanim w następstwie tego rosnąca świadomość klasowa u 7000 najmitów związkowych, pędzona siłą elementarną z jednej, a z drugiej strony kierowana taktownem wyzyskiwaniem położenia, nie popchnie tej bądź co bądź poważnej liczbą i zasobnej pod względem materyalnym organizacyi na drogę bardziej odpowiadającą rzeczywistym potrzebom ogromnej większości członkowstwa związkowego. O tem, że taki rozwój nastąpić musi z biegiem lat niezbyt oddalonych od chwili obecnej, wróży dobrze ta szczęśliwa okoliczność, iż proletaryat, zrzeszony pod sztandarem „Związku Narodowego Polskiego" Stanów Zjednoczonych, składa się z żywiołów najwyżej umysłowo rozwiniętych a moralnie jeszcze dosyć zdrowych. Jak się wobec tego zachowają dzisiejsi sterownicy „Związku", związani pod każdym względem jeszcze ze światem demokratyzującego mieszczaństwa, i których interesy, interesy śmiesznej istotnie mniejszości, są wszakże miarodajne w porze obecnej, nie należy przesądzać,

II.

„Ohne Sang und Klang". Złowieszczą ciszą zakończyła się, a jak powiada „Ameryka", — bez modlitwy rozpoczęła się druga konwencya „Ligi Polskiej", którą w swoim czasie, dziś już nieboszczyk, a wtedy humorystyczny „Dyabeł" Chikagowski, przechrzcił na „Figę Katolicką". Gdy na pierwszy wiec „Ligi" zjechało się 277 delegatów, tym razem przywędrowało do Toledo w Stanie Ohio, miejscu konwencyi, 10 osobistości, co razem z 7 poczciwcami, będącymi stałymi obywatelami miasta Toledo, uczyniło 17 ludzi na sali konwencyi. Wśród owych zaś 10 przedstawicieli „czegoś", figuruje ośmiu niezaopatrzonych w mandaty jakichkolwiek towarzystw, ale którzy ot tak sobie przybyli. Między znów panami „ot tak sobie przyjechawszy", promienieją nazwiska osławionego księżego milionera, jezuity o Wincentego Barzyńskiego oraz ks. Kasprzyckiego z Chicago. Dla scharakteryzowania przebiegu obrad, najlepiej będzie przytoczyć wyjątki ze sprawozdania, umieszczonego w „Ameryce", dla uzupełnienia obrazu dodać, że niżej wzmiankowany pan S. Szwajkart, obecnie jeden z najzdolniejszych adwokatów klerykalnego obozu w Chicago, był także kiedyś wielkim „postępowcem", jak długo nikt się jeszcze nie zgłosił do kupna jego pióra; pan Piotr Kiełbasa zaś dorobił się grubych pieniędzy na sprzedaży gruntów, następnie stał się filarem partyi klerykalnej, od której w zamian otrzymał wsparcie w swojej karyerze politycznej. Pan Kiełbasa był temu lat kilka skarbnikiem miasta Chicago.

„Zabiera głos ob. Kiełbasa, no i jak to pan Kiełbasa, „mófca" znakomity, utknąwszy na „filozofii", kończy, że w Lidze nie potrzeba mądrych, lecz tylko głupich chłopów — a ci wszyscy redaktorzy, pisarczyki mądrachelne, inteligentne chłopy — mówił pan Kiełbasa — wszyscy co od nas są mędrsi, to są wszystko złodzieje, szubrawcy, rabusie i kryminaliści, którzy uciekli z Europy przed prawem. Obecni za tę mowę obdarzyli pana Kiełbasę oklaskami. Pan Kiełbasa robi wniosek, by obrady odroczyć do 2-ej po południu. Wniosek przyjęto. Zebrani chcą się rozchodzić, lecz delegat L. Kalisz, zwraca uwagę księżom, że debaty na wiecu katolickiej Ligi rozpoczęto bez modlitwy a i obecnie o takowej zapomniano. Zawstydzony ks. Barzyński zamiast błagać Ducha św. o oświecenie, intonuje modlitwę za dusze w czyścu cierpiące. Widocznie obawiał się, by nie było cudu i delegaci naprawdę nie zostali oświeceni. Następuje sprawozdanie pana Szwajkarta, sekretarza Ligi, z którego zrozumieć tylko to mogliśmy, że sekr. Ligi jedynie za upoważnieniem vice-prezydenta p. Napieralskiego, (który znów jak sam powiada nic nie robi bez porady Ojca Wincentego) wydał z nadesłanych na jego ręce 1.973 dol. wszystko, prócz przysłanych jednorazowo na Skarb Polski 700 dol. a i w tej nawet sumie jest deficyt 33 dol. Podług konstytucyi pieniądze te nieprawnie zostały wydane, bo konst. wyraźnie zastrzega, że 1 c. podatek ma stanowić n i e n a r u s z a l n y skarb narodowy. Na co? na jaki użytek te pieniądze były wydane? pan Szwajkart nie czuł potrzeby objaśniać zebranych. Zasługuje na zanotowanie fakt, że żaden z delegatów (?) tak chicagoskich jak i tutejszych nie wniósł żadnego projektu, nie brał czynniejszego udziału w obradach, nie zabierał zupełnie głosu. Wnioski stawiał ksiądz Wincenty, popierał Kiełbasa, a gdy delegat Kalisz, lub p. Napieralski chciał się zastanawiać nad kwestyą, głos ojca Wincentego i natarczywa tegoż interpelacya stawała temu na przeszkodzie. Konstytucya Ligi została zupełnie, gruntownie zmienioną. Kapłanom nadano nieograniczoną i niczem nie określoną moc rządów w Lidze i to kapłanom wszystkim, tak należącym, jak i nie należącym do tej organizacyi."

Niebezpieczeństwo, które istniało przy narodzinach „Ligi", chcącej skupić masy wychodźtwa polskiego Stanów Zjednoczonych pod hasłem „jednolitych interesów narodowych", a w dalszym ciągu zapędzić je do obozu jezuitów Chicagoskich, minęło. Nieufność ogółu polskiego względem zamiarów ojców tego ciała pogrzebała

je w czasie, gdy drgało jeszcze odrobiną życia. To, co się ostało po „Lidze“, zakrawa na wesołą farsę. Nie od rzeczy będzie donieść w tem miejscu czytelnikom „Przedświtu“, że Jan Czupka, „doktor obojga praw“, zasiadający jako „wielki“ w „Lidze“, w departamencie „oświaty i moralności“, ulotnił się z Chicago, pozostawiwszy swych przyjaciół w nieutulonym żalu za straconymi na wieczne czasy dolarami. Wychodzący tamże „Sztandar“ bardzo by rad dowiedzieć się o jego teraźniejszym pobycie.

Rzeczą, która prócz sejmu Z. N. P. narobiła bodaj najwięcej wrzawy, był wiec „Niezależnego Kościoła“, odbyty w d. 12 i 13 września, w Cleveland; już to samo, że się odbył w tem samem miejscu i czasie, co sejm związkowy, napełniło serca przewódców partyi rzymsko-katolickiej pałającą goryczą i wściekłością. Wobec tego, że żadne z pism tu wychodzących nie podało liczby delegatów, przybyłych na II Sejm „niezależnych“, można jedynie skonstatować, że byli przedstawiciele parafii z Chicago, Buffalo, Freeland w Stanie Pensylwania i z Cleveland. Podajemy według „Nowego Życia“ i „Jutrzenki“, ważniejsze uchwały powzięte na sejmie.

„Niewłaściwie nadawana i używana nazwa Kościół niezależny“ zmienioną została na oficyalną nazwę „Kościół Polski Rzymsko Katolicki w Ameryce“. Wszelkie grunta z kościołami, szkołami, plebaniami i cmentarzem, ze wszystkiemi budowlami, na onych się znajdującemi, stanowią wieczystą własność każdej pojedyńczej parafii. Również wszelkie sprzęty i ruchomości, zakupione lub podarowane przez parafian lub inne osoby na rzecz kościoła i w budynkach kościelnych zostające, są wyłączną własnością każdej pojedyńczej parafii. Żaden biskup, proboszcz lub wikary odpowiedniej parafii, ani komitet parafialny, nie mają prawa ten majątek, pracą i oszczędnością parafian zebrany i nabyty, komukolwiek sprzedać, darować lub wydzierżawić. Wszystkie dochody i pieniądze, wpływające do parafii z jakichkolwiek bądź kolekt, danin, ofiar lub innych źródeł, stanowią własność oddzielnych parafii i pozostają w wyłącznem rozporządzeniu komitetów parafialnych, na ten cel wybranych. Żaden ksiądz lub biskup nie może być bezwarunkowo obranym żadnym urzędnikiem parafialnym, i żadne własności, należące do kościołów nie mogą być inkorporowane na imię proboszczów lub biskupów. Żaden kościół, już istniejący lub w przyszłości powstać mogący a do naszej organizacyi należący, nie może być inkorporowany inaczej, jak tylko podług zasad niniejszej konstytucyi z uwzględnieniem jednak praw każdego stanu. Wybór i usunięcie kapłanów t. j. proboszczów i wikarych uskutecznia się za pomocą głosowania przez kartki na ogólnych zebraniach parafian, gdzie stanowczo większość decyduje. Każdy ksiądz winien przedstawić odpowiednie świadectwo o swem legalnem wyświęceniu, prócz tego opinia jego winna być nieskazitelnej moralności.“

„Każda parafia o ile jest możebnem winna mieć własną szkołę parafialną, urządzoną na sposób szkół publicznych z wykładem nauk tamże zastosowanych, z dodatkiem języka i historyi polskiej, oraz nauki religii w języku polskim. Woli rodziców lub opiekunów nie krępuje się i pozostawia im się zupełną swobodę posyłania swoich dzieci do publicznych szkół. Nauczycielami lub nauczycielkami w szkołach parafialnych winni być ludzie świeccy. Wybór ich zależy od miejscowych komitetów i proboszczów pojedyńczych parafii. Każda parafia obowiązkowo winna mieć czytelnię lub bibliotekę. Sposób pozyskania środków lub urządzenia tychże pozostawia się lokalnym konstytucyom pojedyńczych parafii. Pozostawia się zupełną wolność parafiom zakładania lub utrzymania towarzystw kościelnych. Rekomenduje się równocześnie pojedyńczym członkom, o ile to jest możebnem, aby wstępowali do „Związku Narodowego polskiego“.

„Żadna parafia nie ma prawa wchodzić w jakąkolwiek ugodę lub umowę z biskupami rzymsko-katolickiego wyznania. Gdyby którakolwiek parafia chciała zawrzeć ugodę z biskupem, winna w tym interesie zwrócić się do Zarządu Kościoła. Zarząd ten ma prawo pertraktacyi — wszelkie umowy tylko wtedy mogą być uznane za prawomocne, jeśli zawarte zostaną równocześnie przez wszystkie parafie z biskupami odnośnych dyecezyi. Zgoda jest wtedy tylko możliwą, jeżeli biskupi szanować będą w zupełności naszą konstytucyę i zapewnią naszym księżom ściśle wykonanie wszystkich paragrafów onej.“

„Zastrzega się, że kościół Polski Rzymsko-Katolicki w Ameryce nie ma prawa zaprowadzać literalnie żadnych zmian w dogmatach, obrzędach i obchodach rzymsko-katolickiej wiary i każdy pojedyńczy członek jak również każda parafia, winne są ściśle przestrzegać wykonania i uszanowania wszystkich istniejących dogmatów rzymsko-katolickiej wiary“.

„Sejm zadecydował wystosować publiczny protest przeciwko tyranii rzymsko-katolickiego duchowieństwa w Ameryce i w tym celu polecił protest taki ogłosić w rozmaitych polskich, niemieckich i angielskich gazetach. Nadto polecił Zarządowi, aby w imieniu wszystkich polaków, do kościoła polskiego rzymsko-katolickiego w Ameryce należących, wystosował stosowny protest do Ojca Ś-go w Rzymie i doniósł mu dokładnie o samowoli i tyranii tutejszych rzymsko-katolickich biskupów“.

Następny sejm postanowiono odbyć w lipcu 1896 r. w m. Buffalo. Z wyborów na prezesa wyszedł Apolinary Karwowski, wydawca „Reformy“ z Buffalo. Zaraz po objęciu swego urzędu wystosował odezwę do duchowieństwa rzymsko-katolickiego w Stanach Zjednoczonych, której główniejsze ustępy brzmią jak następuje:

„Ruch ten, tak szybko obecnie naprzód kroczący, już przed kilku laty zapuścił pierwsze swoje korzenie w społeczeństwo nasze. Objawił się on po raz pierwszy w Chicago, następnie w Detroit, a ostatecznie w Cleveland, które przez czas dłuższy stanowiło niejako stolicę ruchu. Stworzyły go nierząd, chciwość, sobkostwo, wyzysk i tyraństwo niektórych zaślepionych bogactwem księży, ugruntowało zaś jego podwaliny nieposzanowanie naszych uczuć patryotycznych, i akcya przeciwna naszym interesom narodowym. Wiemy o tem i głęboko przekonani jesteśmy, że większość pomiędzy Wami, Wiel. Kapłani, czuje tak jak i my, jest przedewszystkiem polską, i dlatego tuszymy, że po gruntownej rozwadze, porzuci służbę, hańbę Wam a szkodę naszemu społeczeństwu przynoszącą, stanie po stronie ludu i z nami się połączy. O cóż nam głównie rozchodzi się w tej sprawie? Oto o poniewierane przez obcych imię polskie, o nasz narodowy majątek, a następnie o równe i sprawiedliwe traktowanie księży polskich w Ameryce. Każdy zdrowo myślący zgodzi się z nami, że naszym majątkiem, naszym kapitałem narodowym, są nasze polskie kościoły, polskie szkoły, krwawicą ludu pobudowane, a zapisywanie tychże na imię obconarodowców, jest krzywdą o pomstę do nieba wołającą. Jakżeż fałszywie wobec tego brzmią owe wykrzykniki o naszych polskich kościołach.... Do niedawna nie mieliśmy ani jednego kościoła, ani jednej szkoły, ani jednego cmentarza polskiego, a biskupi samowładnie rządząc, mogli je parafii odebrać, budynek przemienić na fabrykę, stajnię lub coś podobnego, mogli nasyłać ludowi księży, których on nienawidził, tolerowali i tolerują na posadach proboszczów — ludzi moralnie zgniłych, otwartych gorszycieli naszego ludu, a to jedynie dla tego, że tacy doskonale opłacać się mogą. Naszem zadaniem, zło to usunąć, naszem zadaniem wyrwać władzę z rąk tyrańskich jednostek, rozdzielić ją sprawiedliwie pomiędzy wszystkich Kapłanów, zapobiedz temu, ażeby jeden wpływowy satrapa tyranizował dzie-

sięciu innych słabszych od siebie. zmuszał ich do płacenia sobie i biskupowi haraczu za to jedynie, że pozwala im łaskawie rządzić lichą parafią".

„Dogmatów wiary zmieniać nie myślimy, z Rzymem w zgodzie pozostać chcemy. a walkę wypowiedzieliśmy tym tylko. którym idzie nie o wiarę naszego ludu, ale o jego dolary".

Jak widać z tonu odezwy jako też uchwał na wiecu powziętych, cały pierwotny radykalizm żądań „niezależnych katolików", zredukował się do życzenia, aby parafianie mieli kontrolę nad własnością i przychodami kościoła. O wybiciu się z pod despotyzmu hierarchii rzymskiej. o czem początkowo tak wiele mówiono, teraz rzadko już słychać. Są nawet oznaki, że ci, co burzę wywołali, zlękli się jej następstw i chcieliby ją albo zażegnać lub się jeszcze trochę potargować, a w końcu byle czem zadowolnić. Charakter księży, stojących w obecnej chwili jeszcze na usługach niezależnego kościoła, nie przedstawia żadnej gwarancyi, że rzecz, której rzekomo bronią, jest im drogą. i że wytrwają przy niej. Wyjątek stanowi jedynie stary radykalny demokrata litewski, ks. W. Dębski. nie mający wszakże dużo wpływu. Proboszcz niezależnej parafii w Cleveland, ks. Kałaszewski, tak pokierował obradami sejmu, że zabezpieczył sobie i kolegom bardzo prawdopodobne wybaczenie papieskie. Nie powinno to być wielką niespodzianką, gdyby pewnego dnia ujrzano niezależny kler, wracający ze schyloną głową i „skruchą w sercu" na bogate łono prawowiernego kościoła rzymsko-katolickiego. Jeżeli ruch ten, obiecujący tak wiele w początkach, miał się sam zdyskredytować w oczach ogółu, to nie mógł tego skuteczniej uczynić, jak powołaniem na najwyższą godność Apolinarego Karwowskiego. człowieka z haniebnie zaszarganą opinią i karyerowicza, nie przebierającego w środkach dla dopięcia swych celów, zawsze mających na oku korzyść osobistą, i zadowolnienie swej próżności. Prawdopodobnie on zredagował on też sam odezwy, gdyż nie posiada dosyć talentu pisarskiego. Teraz można orzec z pewnem uzasadnieniem, że niezależny kościół w Ameryce nie ma przed sobą długiego życia. Trochę wyrozumiałości i lepsze traktowanie parafian ze strony księży — ugasi pożar. Jedni wrócą do prawowiernego kościoła ; drudzy, a będzie ich mniejszość, osłabną wielce w gorliwości dla „wiary naszych ojców" i sprzęgną swe losy dalsze z walką uświadomionego proletaryatu o sprawy, leżące tu na ziemi, tuż pod samym nosem. Jakimkolwiek będzie wynik, ruch niezależnego kościoła stanowi w duchowym bycie wychodźtwa polsko amerykańskiego ważny czynnik rozkładowy z tendencyą dodatnią dla rozwoju samodzielności umysłowej, dla wyrobienia zmysłu opozycyjnego względem absolutystycznych zachcianek urzędników kościoła rzymskiego, a w dalszym logicznym ciągu korzystną dla propagandy socyalistycznej.

Toż samo Buffalo, które mieściło zeszłego lata w murach swych delegatów na zjazd dziennikarzy polsko-amerykańskich, o którego rezultatach trudno cóś dobrego w tej chwili powiedzieć, było także świadkiem II Sejmu „Unii Polskiej", alias Pitassowskiej, rozpoczętego w d. 11 września r. b. a składającego się głównie z księży. „Unia" ta o zakroju arcy-katolickim liczy razem 28 grup, z których większość znajduje się w samem Buffalo, a reszta w St. Paul (Minnesota), Omaha (Nebraska), Independence (Wisconsin), Trenton (New Jersey) itd. Najważniejszemi sprawami tego sejmu były poprawki rozmaitych paragrafów konstytucyi oraz kwestye pośmiertnego wsparcia dla członków „Unii Polskiej". W sprawie przyjmowania członków „Związku Narodowego Polskiego", wywiązała się następująca dyskusya wyjęta z urzędowego protokółu :

„Delegat Wegner stawia wniosek, aby do Unii przyjmowano i związkowców. ale tylko z tej części Związku, która oświadczyła się przeciw przyjęciu socyalistów i anarchistów do tegoż Związku. Ob. Ćwikliński zapytuje, co robić z członkami, którzy już należą do Unii a zarazem i do Związku ? Ks. D. Majer objaśnia. że ci członkowie którzy, przed uchwaleniem paragrafu o nieprzyjmowaniu związkowców do Unii będąc związkowcami, wstąpili do tej organizacyi, teraz powinni być pozostawieni w spokoju. Obywatel Johnson zaznacza, że ponieważ trudno oznaczyć jest, która część Związku, a raczej związkowców, chce przyjmować do swego grona socyalistów i anarchistów, a zatem potrzeba obecny paragraf o nieprzyjmowaniu związkowców zostawić, tak jak brzmi obecnie".

W paragrafie. wyrażającym dotąd żądanie niepodległości ziem polskich, wyrzucono słowo „niepodległość" w rzekomej obawie, aby nie wejść w kolizyę z rządem Stanów Zjednoczonych. Przyjęto także ostrą rezolucyę potępiająca kościół niezależny.

Na dalekim północnym zachodzie, w South Bend, Stanie Indiana, toczyły się narady XXII sejmu największej oprócz „Związku Narodowego" organizacyi, „Zjednoczenia Polsko Rzymsko-Katol. pod Opieką Błogosławionego Serca Jezus", naznaczone na 17 września. Uczestniczyło w nim 76 delegatów świeckich i 30 księży. Jako goście zaopatrzeni w mandaty, przybyli ze strony „Unii Polskiej ks. Majer i p. Rożan z Buffalo.

Pierwszy gorąco przemówił za potrzebą łączności duchowej pomiędzy jedną a drugą organizacyą. Rozwodził się szerzej nad istotą polskiego patryotyzmu, „który zawsze powinien Boga na pierwszem a ojczyznę na drugiem stawić miejscu . Potępił też ostro „skandaliczne pisma, które zamiast lud do zgody nakłaniać sieją pomiędzy nim nienawiść i odwodzą go od wiary. Aż by temu wszystkiemu módz zapobiedz, trzeba jednomyślnie wystąpić przeciwko wspólnemu wrogowi. Potrzeba jak najściślejszego porozumienia pomiędzy Zjednoczeniem a Unią". Zapewniał, „że Unia życzy sobie tego porozumienia i duchowej łączności jak najgoręcej". W tym samym duchu przemawiał drugi delegat p. Rożan, wykazując jak wielkie korzyści wypłyną dla obydwóch organizacyi, gdy wspólnie pracować będą i gdy w jednym szeregu występować będą „przeciwko duchowi fałszywego postępu i niewiary. Polska była katolicką i jeżeli ją pragniemy dźwignąć z upadku przedewszystkiem w Ameryce powinniśmy żyć jako wierni katolicy." Wystąpił też ostro przeciw zakładaniu kościołów niezależnych. „które są dla nas hańbą i które historya surowo kiedyś potępi".

Sprawozdania urzędników wykazują, że w kasie znajduje się 4.050 dol. i że od sejmu ostatniego w Cleveland przybyło 24 grup. Natomiast dowiedziano się. acz miało to być tajemnicą, że ogólna ilość członkowstwa w grupach bardzo nieznacznie się podnosi, a w wielu miejscach ulega zmniejszeniu. Kilkudniowe debaty zajmowały się głównie zmianami w konstytucyi i wsparciach dla wdów po zmarłych członkach.

O nastroju, panującym na sejmie „Zjednoczenia", tak się rozpisuje „Zgoda" : „W ubiegłym tygodniu odbył się w South Bend Sejm Zjednoczenia, na którym dał się odczuć, jak nigdy przedtem sympatyczny i błogi objaw samodzielności Uległość szkodliwa i zbyteczna stopniowo i powoli zanika. Pisały też rozmaite pisma klerykalne. że posiedzenia były bardzo spokojne i ciche. Tak nie było i dobrze, że tak nie było ; starcia i dyskusye gorące a czasem burzliwe dowodzą właśnie tego, że ogół delegatów żywo się zajmuje sprawami swej instytucyi. Miał ten sejm swe dodatnie strony — szkoda tylko, że odezwały się tam dwa fałszywe dźwięki, które zgrzytem swym rażą ucho każdego dobrego polaka. Nasamprzód ks. Majer niepotrzebnie zaczepił „Związek" — a ob. Rożan od „Unii" wyzwał poprostu do rozpoczęcia krucyaty przeciw Związkowi. Tej krucyaty my dziś wcale się nie lękamy ....

Prawdziwą burzę wywołały debaty nad reformami w składzie i siedzibie administracyi. Przy tej sposobności odzywała się nuta, słyszana już na sejmie „Związku Narodowego“, jakiegoś specyficznie lokalnego „patryotyzmu“ Buffalowskiego, czy Milwauckiego, Clevelandskiego lub Detroickiego. Każde miasto chciało widzieć u siebie stolicę najwyższych dostojników organizacyi, nie kierując się przytem względami potrzeby i korzyści, lecz prawdziwie naiwną zazdrością wobec drugiego miasta. Walka o siedzibę zarządu doprowadziła na sejmie „Zjednoczenia“, do takiego ostrego starcia się urojonych li tylko interesów, że cała i spora delegacya z m. Milwaukee ostentacyjnie wyszła ze sali, gdy zakomunikowano rezultat głosowania, naznaczający Chicago i nadal za siedzibę administracyi. A jednak, nie bacząc na lokalne wielkości tego miasta, chcące za jaką bądź cenę kierować sprawami wychodźtwa polskiego, człowiek bezstronny musi przyznać, że Chicago, mieszczące największą kolonię i pokaźniejszą ilość osób inteligentniejszych oraz położone niedaleko kilku innych znacznych polskich osad, nadaje się najlepiej, jako ognisko, koncentrujące w sobie życie umysłowe i organizacyjne polaków amerykańskich.

Sejm wysłał następującej treści depeszę do Rzymu: „Polacy katolicy, na sejmie w South Bend zebrani, wypowiadają swe głębokie przekonanie, że przywrócenie terytoryalnego zwierzchnictwa Stolicy św. dla jej samodzielności, zupełnej swobody i niezależności w rządzeniu Kościołem Bożym jest nieodzownie potrzebne“.

Obrano komisyę, która ma się zająć założeniem i utrzymaniem polskiego seminaryum nauczycielskiego.

Ciekawa dyskusya, jak ją opisuje „Polonia“ w Cleveland, wywiązała się przy naradach o organie urzędowym. „Gdy odczytano wniosek, dotyczący organu towarzystwa, wielu delegatów oświadcza się przeciw przymusowemu abonowaniu „Wiary i Ojczyzny“, dowodząc, iż grupy ich nie życzą sobie przymusowego organu, inni znów oświadczają, że „Wiara i Ojczyzna“ nie jest dobrze redagowana i nie dobrze ekspedyowana, bo wielu członków nie odbiera jej wcale. Pomiędzy innymi ks. W. Barzyński zabiera głos i tłomaczy, że ekspedycya odbywa się regularnie, a jeżeli który z członków nie odbiera gazety, to jedynie pocztę należy za to winić. Nie-delegat, redaktor „Wiary i Ojczyzny“, p. Szwajkart, odpiera zarzuty, poczynione mu przez niektórych delegatów, jakoby nie umieszczał korespondencyi, i wywodzi, że „Wiara i Ojczyzna“ jest dobrze redagowaną. Debaty były dość burzliwe, ale zakończyły się zwycięstwem ks. W. Barzyńskiego i p. Szwajkarta, „Wiara i Ojczyzna“ pozostaje nadal przymusowym organem Zjednoczenia“.

Prezesem obrano adwokata i demokratycznego agenta politycznego, p. Klemensa Bielińskiego z Chicago, sekretarzem p. Wleklińskiego, skarbnikiem Jędrzejka a radcami duchownymi — księży Barzyńskiego i Gutowskiego. Ponieważ prezes „Zjednoczenia“ jest wykonawcą woli Barzyńskiego, łatwo zrozumieć, kto w tej organizacyi gra pierwsze skrzypce.

Silne wstrząśnięcie sprawiło „Zjednoczeniu“ oderwanie się zaraz po sejmie kilku silnych grup w Milwaukee, które, niezadowolone z uchwał sejmu w South Bend, utworzyły same pomiędzy sobą organizacyę „pośmiertną“, obejmującą wyłącznie Stan Wisconsin. I z innych stron dochodzą wieści o występowaniu pojedyńczych stowarzyszeń; najbliższa przyszłość nie bardzo uśmiecha się dla „Zjednoczenia“. Obóz klerykalny widocznie już się wygospodarował, przebrawszy miarkę swego nieznośnego autokratyzmu, i sam grunt usuwa pod nogami sobie. Jeśli wierzyć oznakom, tu i owdzie występującym, to opinia emigracyi amerykańskiej przechyla się na stronę partyi reprezentowanej w „Związku Narodowym Polskim“. Powoli chłopek i małomiastowy robotnik polski, przestaje ślepo wierzyć swemu duchownemu, i budzi się w nim duch oporu.

Najlepszym dowodem, że liberalizm wkrada się już nawet do organizacyi czysto kościelnych, jest przebieg wiecu lokalnej centralizacyi kilku towarzystw Chicagowskich pod nazwą: „Zjednoczenie Polsko-Rzymsko-Katol. pod opieką Matki Boskiej Częstoch.“, który miał miejsce w końcu września. Oto próbka z przemowy prezydenta p. J. Napieralskiego: „Członkowie Zjednoczenia, mimo stawianych im różnych przeszkód, wytrwali w wierze rzymsko-katolickiej swych ojców, lecz miłowali zawsze braci związkowych i żyli z nimi w jak najlepszej zgodzie. Nie było obchodu narodowego na Wojciechowie, w którym by Zjednoczenie pod opieką M. B. C. nie przjmowało czynnego udziału“. Inny delegat wnosi: „aby sejm uchwalił i przez swych delegatów polecił w towarzystwach popieranie Skarbu Nar. w Rapperswylu, jako jedynego skarbu polskiego. Wniosek ten przechodzi z wielkim zapałem“. Za organ urzędowy jednogłośnie uznano „Sztandar“, pismo o kierunku narodowo-liberalnym z przymieszką kilku uncyi przyjaźni dla ludu pracującego.

Odbyły się nie mniej zjazdy „Związku Śpiewaków Polskich,“ i „Sokołów“ w Chicago, na których załatwiono sprawy wewnętrzne i rutynowe.

Kilka znaczniejszych kolonii polskich, jak Chicago, Milwaukee, Detroit, Grand Rapids, Cleveland, Filadelfia i New-York, sprawiło wysłańcom europejskiej emokracyi polskiej, pp. Lewakowskiemu i Z. Balickiemu, imponujące przyjęcie. W mowach, wypowiedzianych przy tej okoliczności, p. Lewakowski kładł główny nacisk na potrzebę „obrony czynnej“, zbierania funduszów dla „Skarbu Rapperswylskiego“, oświaty i pilnowania aby emigracya nie wynarodowiła się, oraz rozwodził się o konieczności zawiązania ścisłych węzłów tak z krajem ojczystym, jak z zagraniczną organizacyą ludowców polskich. W sprawie ruchu niezależnego kościoła zajął on stanowisko bardzo dwuznaczne. W jednem miejscu przyznawał despotyzm kleru i naturalne stąd niezadowolenie, gdy w innem potępiał dążności separatystyczne wśród ludu katolickiego. Na zebraniu odbytem w New-Yorku wyraził się bardzo pochlebnie o „wspaniałomyślnem sercu“ cesarza Franciszka Józefa i szczerej tegoż życzliwości dla polaków, oraz mówił, że papież winien brać stronę narodowości polskiej, bo na niej kościół katolicki najpewniej może się oprzeć. Kwestyi społecznej i ruchu najmickiego nie poruszał nigdzie. Wielka szkoda, że interpelującego w tej sprawie członka New-Yorkskiej organizacyi socyalistycznej na zebraniu, na którem przemawiał p. Lewakowski, przewodniczący nie dopuścił do głosu. Byłoby to przyparło demokratę galicyjskiego do ściany i wymusiło na nim jasne oświadczenie swego stanowiska względem ruchu socyalistycznego. Bądź co bądź, pobyt Lewakowskiego na ziemi amerykańskiej miał i dla tutejszych socyalistów polskich swoje dodatnie strony. Po raz pierwszy, rzec można, odważono się na t. z. patryotycznych zebraniach na krytykę gospodarki szlachecko-stańczykowskiej, na wykazanie zgubnych wpływów naszych ugodowców dla sprawy polskiej, na zaznaczenie, iż z tej strony nie należy się spodziewać ratunku, i że jedynie lud odrodzi znów ruch narodowy zdążający do niepodległości. Jak dla polsko-amerykańskich patryotów, to wielki krok naprzód. Pan Lewakowski wprawdzie bardzo łagodnie krytykował zgniliznę moralną polityków szlacheckich tak w Poznańskiem jak c. k. Galicyi, ale lepsze i to od tego, cośmy tu dotychczas słyszeli. Bo dotąd strasznie patryotyczna w Ameryce inteligencya polska, złożona w przeważającej liczbie z elementów bądź wprost kryminalistycznych bądź w inny sposób moralnie zbutwiałych, uważała takie odzywanie się o „przednich klasach narodu“, jak to, co mówił gość z Galicyi, za sprzeniewierzanie się „solidarności narodo-

wej", za zdradę „narodu polskiego" i szerzenie „nienawiści klasowej". Tych, co udawadniali, że „przednie warstwy narodu" zrzekły się nie od dziś swych dawnych ideałów rewolucyjnych, że poszły na służbę lojalizmu i karyery dyplomatycznej, dziennikarstwo polsko-amerykańskie, z niewielu wyjątkami moralnie zatruwające swych czytelników, zakrzyczało jako „zdrajców ojczyzny", jako nawet ajentów carskich. Agitacya pp. Lewakowskiego i Balickiego, a w niemałej mierze „Zgody", uskuteczniła zmianę. Obecnie mówca, krytykujący szlachtę i politykę Badenich czy Kościelskich, nie potrzebuje się obawiać „szlachetnego oburzenia" patryotów amerykańskich lub odebrania mu głosu. Nie znaczy to, żeby i teraz jeszcze nie znaleźli się ludzie, pochodzący ze sfer szlacheckich, którym nie bardzo smakuje piętnowanie haniebnego upadku „naszych ojców"; ale tacy wstrzymują się nieco od publicznej nagany mówców i pism, naruszających w ten sposób „solidarność narodową". Duch poznańsko galicyjskich a częściowo — bo w całkowitości to byłoby zbyt radykalne — szwajcarskich ludowców stał się modą. Nie ulega wątpliwości, że będzie jej pewien czas hołdowało wszystko, prócz obozu klerykalnego. Za „Zgodą", która pierwsza, dwa lata temu, rzuciła hasło „Polska ludowa", poszły niektore pisma, jakie niedawno jeszcze chciały widzieć „z szlachtą polską polski lud"!

Prasa klerykalna wraz z karczemnym „Wiarusem" i brutalnym „Polakiem w Ameryce", rzuciła się na Lewakowskiego z niesłychaną gwałtownością. Zwano go aż „hersztem galicyjskich socyalistów"! Mowy jego ochrzczono jako „krwiożercze", „pałające duchem buntu, rewolucyi, komuny" i — „pachnące dynamitem"! Niektóre zaś pisma narodowo-liberalne, trzymające się amerykańskiej zasady wydmuchywania muchy do rozmiarów wielbłąda, rozpisywały się szeroko o jego nadzwyczajnych cnotach, zwały go pieszczotliwie, „nowożytnym Rejtanem", chlubą „ojczyzny" no i ostatecznie zdołały tak dalece wzbudzić w masach czytelniczych, nie posiadających oprócz tego, co „Zgoda" pisała o p. Lewakowskim, żadnego wyobrażenia o realnej wartości jego działalności w parlamencie wiedeńskim i w Galicyi, taką cześć dla tego człowieka, że odrazu powołano do życia aż dwa nowe towarzystwa, noszące imię Lewakowskiego. Nie trzeba nadzwyczajnych kwalifikacyi ducha lub wielkich zasług dla społeczeństwa, aby być zaliczonym przez emigracyę polsko-amerykańską w poczet „wielkich w narodzie". Zręczna reklama zastąpi to wszystko.

W. F

ZE SZLĄSKA AUSTRYACKIEGO

(List Czwarty)

W niniejszej korespondencyi z obowiązku kronikarza dziennikarskiego wypada mi wynotować wszystko, co zaszło w „bagnie" cieszyńskiem w ciągu ostatnich trzech miesięcy t. j. września, października i listopada. Chcę z tego zadania wywiązać się jak najsumienniej, dlatego też niech czytelnicy zechcą darować mi, że znaczną część listu poświęcę sprawie.... gimnazyum polskiego w Cieszynie. Wprawdzie sprawa ta rozpatrywana jest przez prasę galicyjską i szląską w sposób, mogący bardziej krytycznego czytelnika doprowadzić do niemiłych dla niego samego i otoczenia najbliższego... wywnętrzeń, mam jednak nadzieję, że ani ja nie narażę czytelników na zażywanie tej mikstury, *w ten sam sposób* przyrządzonej, ani też czytelnicy „Przedświtu" nie mogą się skarżyć, aby nadużywano ich cierpliwości i karmiono ich kwestyą gimnazyum polskiego równie systematycznie i skutecznie, jak to czynią gazety galicyjskie i „organy" szląskich narodowców. A jeżeli w listach swoich pozwoliłem sobie na szersze traktowanie tej sprawy, niż istotna jej ważność pozwalałaby na to, uczyniłem to jedynie dlatego, aby kołom, sympatyzującym z kierunkiem „Przedświtu", wykazać wartość zabiegów naszych patryotów kresowych, odsłonić rzeczywistą nicość podobnie prowadzonej „sprawy narodowej" z pod gęsto nagromadzonej blagi i samolubnych rachub z jednej strony a poczciwych, lecz niemniej szkodliwych złudzeń z drugiej strony. A więc zaczynam.

Jeszcze w sierpniu zaszły takie okoliczności. Gdy coraz bardziej czas upływał, a pozwolenie na otwarcie gimnazyum nie nadchodziło i posłowie szląscy najzupełniej byli w t. j sprawie bezczynni i bezradni, gdy dalsza zwłoka mogła otwarcie odłożyć „ad feliciora tempora", w kilku pismach galicyjskich pojawiły się korespondencye z Cieszyna, wysoce alarmujące, które w niezbyt pochlebnem świetle wystawiały naszych wybrańców ludu i poddawały surowej krytyce zachowanie się w tej sprawie koła polskiego. Podrażniły one najbardziej p. dr. Jana Michejdę, posła do sejmu, i ten zapałał śmiertelną nienawiścią do niejakiego p. N. N., w którym fama powszechna widziała autora owych korespondencyi. Nazywając postępowanie domniemanego autora „niecnem" i dla interesów Szląska, a nawet całej Polski, nadzwyczaj szkodliwem, i nie mogąc na razie inaczej mu zaszkodzić, zemścił się w ten sposób, że go *stante pede* wykreślono z liczby członków Czytelni ludowej, podając jako powód, że „zachowaniem się swojem działa na jej szkodę". To jednak nie zadowolniło szlachetnych narodowców i, jak mi mówiono, posunięto się do użycia tak chwalebnego środka, że odtąd miejscowa policya jakimś dziwnym wzrokiem obserwuje zachowanie się owego p. N. N., co wszakże, o ile wiem, dotychczas nie doprowadziło do żadnych dotkliwych dla niego skutków.

Przypisywane mu artykuły alarmujące coś atoli zaważyć musiały na szali wypadków, bo d. 10 sierpnia, najzupełniej niespodziewanie, nadeszło pozwolenie od rządu krajowego na otwarcie gimnazyum, wszakże warunkowe tylko, dopóki nie będą wypełnione wymagane prawem przepisy co do lokalu i sił nauczycielskich. Pomimo tego zastrzeżenia w kołach interesujących się tą sprawą wieść ta wywołała radość, miejscami szczerą, tu i owdzie sztuczną i fałszywą. Że ta uciecha była przedwczesna, następne tygodnie wykazały dość wyraźnie. W sferach narodowo niemieckich i liberalnych zawrzało, jak w kotle. Burmistrz m. Cieszyna, dr. Leonard Demel, zwołał natychmiast posiedzenie rady miejskiej, na którem uchwalono 20 stypendyów 100-złotowych dla uczniów ze Szląska polskiej narodowości, którzy wstąpią do I klasy gimnazyum niemieckiego państwowego w Cieszynie, a nadto protest przeciwko potrzebie zakładania gimnazyum polskiego. Wkrótce w ślady za Cieszynem poszły rady gminne Bielska Strumienia, Frysztata i Skoczowa.

Pan dr. Jan Michejda, chcąc zyskać popularność za jednym zamachem, na którą dotychczas wśród ludności tutejszej jakoś zapracować sobie nie potrafił, zredagował w odpowiedzi na uchwałę rady cieszyńskiej protest *względnie* zażalenie do Wydziału krajowego, żądające unieważnienia tej uchwały, skutkiem której ciężary gminne wzrosną, a nadto całkiem nielegalnej i wywołanej pobudkami natury agitacyjnej. Protest taki miałby istotnie pewną wartość, gdyby poparty został poważną ilością podpisów, ale opatrzony śmieszną małe ich liczbą, bo niespełna 50, i to zbieranymi przez dość długi czas, nie wywołał nietylko żadnego skutku, ale na nikim nie zrobił najmniejszego wrażenia i stał się najlepszym dowodem,

jak tutejsi nasi prowodyrowie małem cieszą się uznaniem wśród 8-tysięcznej ludności polskiej Cieszyna.

Nie można zaprzeczyć, że uchwały rad miejskich przeciwko gimnazyum polskiemu były brutalnym wybrykiem barbarzyństwa i wywołały nawet wśród uczciwszych niemców niesmak, jeżeli nie oburzenie. Nawet limfatyczna „Gwiazdka Cieszyńska“ zatrzęsła się z gniewu i nazwała takie postępowanie „podłem, nikczemnem, bezczelnem i oburzającem“, za co miejscowa prokuratorya, nieprzyzwyczajona snać do takiej z jej strony otwartości, skonfiskowała cały nakład. Doprawdy, że nie zasłużony to wcale zaszczyt dla „Gwiazdki“, która w ostatnich czasach starannie unikała wszystkich nieprzystojnych wyrażeń i zwrotów, mogących ją narazić na utratę cnoty niewinności i czystości dziewiczej. I poczciwą „Macierz szkolną“ dla ks. cieszyńskiego też spotkały niemałe zaszczyty i dostojeństwa. Ze strony wielu gazet niemieckich, zaślepionych w szowinizmie, spadły na nią takie przezwiska, jak „polnischer Hetzverein“, jej usiłowania uznano za „polnische Maulwurfsarbeit“ itp., przewodników na Szląsku nazwano „freche Eindringlinge“ a od rządu i władzy kościelnej domagano się, aby takich „niebezpiecznych agitatorów“, jak ks. Świeży i ks. Londzin, czepmrędzej z Cieszyna wydalono. Czyż to nie operetka?

Ci jednak „niebezpieczni agitatorowie“ ze skompletowaniem sił nauczycielskich dla przyszłego gimnazyum rady sobie dać nie mogli, krajowa Rada bowiem szkolna ciągle czyniła szykany, zwlekając z ostatecznem pozwoleniem na otwarcie 1-ej klasy, i pierwotnie na 18 września naznaczony termin otworzenia musiał być odroczony na czas nieokreślony Przytem zajaśniała w całej pełni wartość posłów szląskich, szczególniej zaś ks. Świeżego, który dał się radzie szkolnej wystrychnąć na ostatniego kpa i dudka, a przed takim Langhausem, inspektorem szkolnym, on, poseł do sejmu i do rady państwa, formalnie drżał ze strachu, jak żak szkolny przed belfrem!

Gdy polacy tak dzielnie się spisywali, czesi tymczasem d. 19 września z wielką uroczystością dokonali otwarcia gimnazyum prywatnego w Mistku, miasteczku morawskiem, sąsiadującem z ks. Cieszyńskiem, odległem o $1^1/_2$ godziny drogi koleją od Cieszyna. Nie brakowało tam ani „Sokołów“, ani pochodu ze sztandarami przez miasto, ani hucznej muzyki, nie obawiano się przemawiać na placu przed gmachem szkolnym, a co najważniejsza, jakoś siły nauczycielskie wczas się znalazły i niczego nie brakło, chociaż zaczęto o tem gimnazyum na seryo myśleć dopiero od roku, podczas gdy „Macierz szkolna“ już od lat dziesięciu skomli głosem żałosnym przed Polską o swoich planach, mających odrodzić Szląsk cały.

W oznaczonym więc czasie, kiedy to miało nastąpić uroczyste otwarcie, skończyło się na tem tylko, że „Gwiazdka“ wystąpiła na stronicy tytułowej z nędznym wierszem szląskiego „poety“, p. Jana Kubisza, nauczyciela z Gnojnika p. t. „Woda ze skały“, odbitym krwawo-czerwoną farbą. Ten pan Kubisz, fanatyczny ewangelik, jeden z gorliwszych filarów kliki michejdowskiej a przeto zajadły wróg śp. Stalmacha, na parę tygodni przed umieszczeniem tego wiersza przy jakiejś sposobności w licznem towarzystwie nietylko miejscowych ludzi, ale też i „zacnych rodakówgości“ z Królestwa i Galicyi, zbezcześcił pamięć Stalmacha i rzucał się z niesłychaną namiętnością na kler katolicki na Szląsku. Podobno został za to w jakiemś galicyjskiem piśmie porządnie zwymyślany. Chcąc więc zapewne opinię swoją naprawić, zgłosił się z ową bazgrotą do ks. Londzina, redaktora „Gwiazdki“, przepraszając go solennie i prosząc o jej umieszczenie. Że ks. redaktor zgodził się to umieścić i to jeszcze od człowieka, który dopiero co jego samego wraz z innymi księżmi oszczekiwał, to zrozumieć niełatwo, jeśli się nie zna wszystkich sprężyn, poruszających manekiny cieszyńskiej narodowej szopki.

Tymczasem, gdy otwarcie gimnazyum tak się odwlekało, galicyanie, uderzeni w czułe miejsce przez protesty rad miejskich, zaczęli sypać stypendyami bez upamiętania. Poprostu dziwić się można było, skąd ta wyciśnięta do cna kraina nędzy wydobywa takie fundusze. Nie można byłoby mieć nic przeciwko temu, owszem należałoby pochylić głowę przed taką ofiarnością patryotyczną, gdyby nie było to rozdmuchane sztucznie od góry (ale nie od tej najwyższej-stańczykowskiej), gdyby rzeczywiście można być pewnym, że pieniądze te zostaną użyte w celu właściwym i pożytecznym i gdyby jednocześnie i narodowcy szląscy okazali równie wielką ofiarność w tym kierunku. Po tem, cośmy w listach poprzednich umieścili, czytelnicy chyba ich, zwłaszcza tych najwybitniejszych, o coś podobnego nie poważą się posądzać. I rzeczywiście — na blisko *dwieście* stypendyów, po 100 i więcej złotych, ufundowanych przez Galicyę, cieszyńscy narodowcy, a nie brak między nimi bogatych, *nie zdobyli się nawet na jedno marne stypendyum.* „Bo i poco? nie mamy to zacnych rodaków, którzy dla nas gotowi ostatnią koszulę z siebie ściągnąć?“....

Galicya istotnie nie ograniczyła się na tem. Zaczęto nadsyłać książki szkolne całemi pakami, dzieła do biblioteki dla uczniów i profesorów, okazy przyrodnicze, mapy, wszelkie pomoce naukowe, doszło nawet do tego, że jakiś zapalony wielbiciel szlązaków, dla okazania swej czci względem „niezmordowanej pracy, prawdziwie patryotycznej działalności energicznych prowodyrów szląskich“ nadesłał dla nie istniejącej jeszcze bursy w Cieszynie całe urządzenie na 12 osób, poczynając od łóżek i materacy, a kończąc na spluwaczkach i miednicach! Zaiste można było się obawiać, że wkrótce całą Galicyę ogołocą i wszystko, co się da przewieźć, zostanie podarowane biednym, nieszczęśliwym szlązakom....

Nareszcie uporał się ks. Londzin z wszelkiemi przeszkodami, i otwarcie naznaczono na 10 października. Egzaminy wstępne, jako dokonane w połowie września przez niezatwierdzonych nauczycieli, uznano za nieważne, musiano więc po raz drugi chłopców egzaminować, przyjęto wszystkich 95. Co szczególne, dyrektor p. Piotr Parylak, był mile zdziwiony wynikiem egzaminów: spodziewał się naprz. bardzo słabego przygotowania z języka polskiego, tymczasem oprócz kilku słabszych wszyscy zdali celująco lub bardzo dobrze. Nie taił się z tem, że w Galicyi nigdy mu się nie zdarzyło coś podobnego.

Jeszcze w połowie sierpnia uformował się „Komitet do urządzenia uroczystości otwarcia“, złożony ze znanych już czytelnikom pp. Jana Michejdy, Hilarego Filasiewicza, Adama Sikory, a nadto p. Franciszka Górniaka, właściciela cegielni, który się lubi nazywać przy gościach z innych dzielnic „chłopem szląskim*)“. Panowie ci z początku wielkie rzeczy zapowiadali, miano np. zaprosić całe sokolstwo galicyjskie etc. etc. Po kilku wszakże dniach zaczęli śpiewać na całkiem inną nutę. Ktoś puścił pogłoskę, że, aby tylko nie występować demonstracyjnie, to rząd napewno w przyszłym już roku wstawi do budżetu pozycyę na gimnazyum, a wkrótce może je upaństwowi. Dano się złapać na tę przynętę i rozległo się hasło: „jak najskromniej! jak najciszej! nie narażajmy się! nie drażnijmy niemców!“ Lecz zanim do

*) Ten „demokratyzm“ najzupełniej oczarował bawiące tu podczas lata w Wiśle damy z Warszawy, jak niemniej i p. M. Wysłouchową ze Lwowa, która na tym punkcie w podziw wprawia swą naiwnością.

tego doszło, już rozesłano po całej Polsce masę zaproszeń i należało się coprędzej z fałszywego położenia wycofać. Lecz nie umiano tego dokonać. Wybawił „Macierz“ z tego położenia sam rząd, który nie pozwolił na otwarcie w d. 18 września, z czego szanowny komitet był w głębi duszy jak najbardziej uradowany, to też syt sławy i zasług złożył swe mandaty i dalsze kłopoty odstąpił niepodzielnie ks. Londzinowi. Ten, gdy nareszcie doczekał się zatwierdzenia nauczycieli, kartkami korespondencyjnemi zawiadomił na parę dni przed 10 października mieszkańców Szląska, a Galicyę depeszami do gazet — i sławny ten dzień w dziejach ks. cieszyńskiego nadszedł nareszcie. Z Galicyi przyjechał jakiś z pijacką gębą kontuszowiec, który sprawił nieco sensacyi, oprócz niego garstka innych, a ludu — tego ludu, którego galicyanie spodziewali się zastać nieprzeliczone zastępy, przybyło coś około kopy czy setki. Nie potrzebuję chyba dodawać, że pracująca ludność miejscowa polska świeciła nieobecnością. Gdyby nie obawiano się tak strasznej rzeczy, jak plakaty, może by nawet dość licznie się zjawiła, zainteresowana czemś, czego dotychczas nie widziała, ale ponieważ dotychczas absolutnie nikt się o nią nie troszczył, a nawet wszyscy starali się unikać jej, a tem bardziej nikomu nie przychodziło do głowy wtajemniczać ją w „spr. wę narodową“, więc nic dziwnego, że jej nie było. *Wielka, pamiętna dla całej Polski uroczystość* ograniczyła się na nabożeństwach w kościołach obu wyznań, a potem — krótkich przemowach w sali szkolnej i odśpiewaniu w tych trzech miejscach „Hymnu ludu austryackiego“. Trzeba też wspomnieć, że gmach szkolny udekorowano przeważnie czarno-żółtemi barwami, ale za to na śmierć zapomniano o sfotografowaniu tego wielkiego obchodu, mającego rozpocząć nową epokę w dziejach naszego narodu. W kwadrans już po gromadnem wejściu do gmachu szkolnego ks. Świeży natarczywie i bardzo niegrzecznie wzywał tłoczących się chłopów, chcących coś przecie ujrzeć i usłyszeć, do natychmiastowego opuszczenia budynku gimnazyalnego i rozejścia się. Gdy wypchnięto nas na ulicę, wzajemnie się zapytywano : „a gdzież teraz pójdziemy? przecież miał być jakiś wspólny obiad?....“ Ach! tego obiadu ks. Świeży najbardziej się obawiał, zaklinał więc wszystkich już od dni paru, aby nigdzie się nie zgromadzano w większej ilości! Pomimo to grono pewne, złożone z 30 osób zebrało się w „Karwiner Bierhalle“. Gadano tam przez godzin parę co niemiara. Ks. Chromecki, pijar-patryota z Krakowa, porównał otwarcie gimnazyum z bitwą pod Mohaczem (!), przyczem kilkakrotnie ze słowami : „Ty dzielny ludu szląski!“ zwracał się do tego ludu, którego akurat w owej restauracyi wcale nie było. Reprezentant Warszawy, wydobywszy z zanadrza listę składek na gimnazyum, pobranych od robotników z własnej fabryki, w krótkiem przemówieniu nazwał Kraków sercem, Warszawę głową, a *Cieszyn — sumieniem Polski*. Byłoby to bardzo trafne zestawienie, gdyby zostało co do Cieszyna szerzej omówione, istotnie bowiem przykład tego miasta kresowego powinien poruszyć *sumienie narodowe* i być pobudką do zrobienia raz tutaj porządku z szajką blagierów i filutów, a następnie do zupełnej zmiany metody w traktowaniu spraw kresowych. Po tych dwóch przemówieniach zaczęły wszystkie dudki zachwalać swoje czubki : pan D. z Krakowa podniósł, że doprowadzenie do skutku tak ważnego dzieła zawdzięczać należy jedynie „zacnym kapłanom polskim, a szczególniej ks. L.“, a wyrażenie „polskim“ należało rozumieć jako „katolickim“. Jakiś jegomość z „Głosu narodu“, krakowskiego brukowego piśmidła, uczuwający jakąś nadzwyczajną do szląskich ewangelików sympatyę, nie mógł tego strawić i odpalił, że znicz narodowy tylko w obozie ewangelickim płonął i płonie jasno, ogrzewając wszystko naokół; dr. Knapczyk, lekarz z Bogumina, rozczulał się nad energią, poświęceniem, nie dającem się opisać, posłów szląskich, którzy nie dospali nie dojedli etc., aby tylko sprawę gimnazyum doprowadzić do skutku itd. itd. Nie będę się dłużej rozwodził nad tem, co tam mówiono; pozwolę sobie tu jeszcze zaznaczyć, że, pomimo rozwiązania języków, *ani słówkiem nie wspomniano o Stalmachu*, o jedynym pionerze, którego traktować można poważnie, o człowieku, który położył zasługi około uświadomienia ludu stokroć większe, aniżeli cała obecna falanga narodowców razem wzięta, o Stalmachu, który, jak wiadomo powszechnie, był inicyatorem i założycielem „Macierzy szkolnej“ i kilkoletnim piastunem owej idei gimnazyum polskiego. Czytelnicy, którzy uważnie przeczytali poprzednie moje listy, zapewne nie będą się dziwili takiemu przepomnieniu : ewangelicy z umysłu nie wspomnieli o Stalmachu, a katolicy zapewne z obawy, aby nie wywołać awantury z jego wrogami, również pobożne zachowywali milczenie o nieboszczyku.

Jeszcze jeden szczegół muszę podać z tego dnia „pamiętnego“ i na tem zakończę opis otwarcia gimnazyum. Niemal wszyscy przybyli goście nie kryli swego niezadowolenia; trudno się temu dziwić. Spodziewali się, Bóg wie czego, a zobaczyli marną szopkę, wzbudzającą niesmak; mieli nadzieję ujrzeć lud z całego Księstwa, a zastali garść tylko. Czego się spodziewano, najlepiej określa wiersz, wygłoszony w owej „Karwiner Bierhalle“ przez niejakiego p. Gustawa Kohna, literata-proletaryusza z Sambora, zupełnego nędzarza, który spodziewając się nadzwyczajnego zjazdu, miał nadzieję coś zebrać za swoje utwory literackie. Wiersz ten drukowany był w „Gwiazdce“, a tutaj przytaczamy parę wyrażeń : „Jakież to *ludów olbrzymie mrowisko* ciągnie do prastarego, piastowskiego grodu?“ — „*Zapal, co dzisiaj nas wszystkich ogarnie*, przyszłości lepszej zwiastuje zaranie“. — „Trzy dzielnice łączą się przy szumie echa tradycyi i *w tym wielkim tłumie, w tej fali nikną wrogowie zaciekli!*“ — „Pozwólcie kielich podnieść mi *z zapałem* za cześć krainy szląskiej, *za cześć ludu, co tak wielkiego dziś dokonał cudu*“ itd. itd. I bądźcie pewni, że biedak ten wierzył święcie w nadzwyczajną doniosłość tego zdarzenia, że istotnie uważał założenie gimnazyum za cud jakiś, za nadzwyczajne jakieś zwycięstwo, które w dziejach świata złotemi głoskami wyryte zostanie. I bądźcie pewni, że takiego samego mniemania są te koła, które się interesowały tą sprawą i ofiary na nią dawały. Ciekawa rzecz, czemże by nazwano wypadek, gdyby lud uświadomiony wymusił na rządzie gimnazyum państwowe z językiem polskim, skoro założenie gimnazyum prywatne go *bez prawa publiczności*, — za pieniądze z całej Polski ściągnięte, nazywa się — cudem??....

Ach, jeszcze jedno. W kilka dni po otwarciu gimnazyum „Czytelnia ludowa“ urządziła zabawę „ludową“ z okazyi tego „pamiętnego“ zdarzenia. Chcąc zwabić nieco ludu wiejskiego, panowie z Czytelni zamierzali rozsyłać zaproszenia w kopertach z firmą „Macierzy szkolnej“, lecz kopert nie dostali, a lud na kawał wziąć się nie dał i zabawa „ludowa“ stała się, jak zwykle, zabawą garści inteligencyi (?) cieszyńskiej i kilkunastu zamożniejszych chłopów ewangelickich. „Gwiazdka“ o tem pisała : „zabawa udała się dobrze i sprowadziła sporo ludu z okolic Cieszyna i z dalszych nawet okolic“. „Przegląd Wszechpolski“ też niewiadomo skąd dowiedział się, że „odbyła się *w Cieszynie wielka zabawa ludowa*, której przedmiotem było święcenie tej ważnej dla kultury polskiej zdobyczy. W zabawie wzięły udział *tłumy ludu z całego Księstwa*, oraz znaczna ilość miejscowej i przy-

jezdnej inteligencyi". — Niech żyje dokładność informacyi! tak się tworzy historya....

W październiku ożywiły nieco Cieszyn wybory uzupełniające na posła z miast do rady państwa na miejsce dr. Sobieslaus'a Klucki'ego, który złożył mandat swój w sierpniu. Jak zawsze dotychczas, stronnictwo liberalne najwcześniej i najsilniej rozwinęło agitacyę przedwyborczą, postawiwszy jako kandydata dr. Leonarda Demla, burmistrza cieszyńskiego. Obecne wybory tem się różnić miały od poprzednich z roku 1892, że partya socyalno demokratyczna wystąpiła *po raz pierwszy* ze swym kandydatem, którym był znany agitator, dr. Ellenbogen, adwokat z Wiednia. Dr. Jan Michejda tym razem szczęścia nie próbował, a natomiast wysunięto d-ra Jana Moraveca, lekarza i burmistrza Klimkowic (miasteczko w opawskiej części Szląska), jako kandydata polaków, czechów i *niemców konserwatywnych*. Oprócz nich był jeszcze jeden konkurent do 10-złotowych dyet — p. Jan Rosner, bankier i kupiec z Cieszyna, nacyonał niemiecki. Rezultat wyborów był zgóry przewidywany, nadzwyczajnej więc sensacyi być nie mogło.

Najwięcej zajęcia wzbudziło zgromadzenie, zwołane przez socyal-demokratów na d. 13 października, na którem dr. Ellenbogen miał mieć przemowę „o stanowisku i żądaniach partyi socyalno-demokratycznej". Istotnie żadne ze zgromadzeń nie było tak licznem, jak to. Obszerna sala w hotelu „Austrya" była napchana.... nie ludem jednak, nie robotnikami, lecz inteligencyą, warstwami średniemi i w znacznej części burżuazyą. Galerye były pełne dam, ciekawie się przysłuchujących. „Silesia", organ miejscowych liberałów, w sprawozdaniu o tem pisała na wstępie: „Der „Eugensaal", in welchem die Versammlung stattfand, war noch vor Beginn derselben überfüllt und zwar fanden sich hierzu alle Kreise der „besitzenden Klassen" ein, während das „Proletariat" eine geradezu verschwindende Minderheit bildete." Że tak było rzeczywiście, sam się o tem najdokładniej przekonałem. Robotników i rzemieślników była tylko garść niewielka, w pobliżu prezydyum zajmująca miejsca przy jednym stole; łatwo można było ich odróżnić od reszty po twarzach i po tem, że starali się jak najgłośniej oklaskiwać ustępy z mowy Ellenbogena, w których tenże poddawał ostrej krytyce obecny ustrój społeczeństwa i politykę partyi burżuazyjnych. Dr. Ellenbogen jest mówcą dobrym, mającym widoczną rutynę, ale powierzchowność kantorowicza, pewna chełpliwość w mowie i ruchach — sprawiają to, iż przeciętny robotnik nie może nabrać do niego wielkiego zaufania, zwłaszcza jeśli ma w sobie nieco żyłki antysemickiej. Ta okoliczność, że pochodzenie semickie jest aż zanadto widoczne w rysach dr. Ellenbogena, była powodem takiego zjawiska, które sam zaobserwowałem. Na sali było bardzo dużo żydów różnego stanowiska społecznego od zwyczajnego pisarka za 25 reńskich miesięcznie do krociowych bankierów, — otóż ta kategorya tak hałaśliwie się zachowywała, że często trudno było mówcę dosłyszeć. W tej kategoryi mówca miał widocznie najgorętszych zwolenników i zarazem najzajadlejszych przeciwników. Mniej świadomi rzeczy robotnicy, nie mogąc się połapać w tej gmatwaninie, doszli do przekonania, że dr. Ellenbogen przedstawia interesy tej grupy żydowskiej, a utwierdzili się po części w tem mniemaniu, gdy usłyszeli grzmiące oklaski ze strony zgromadzonych żydów, kiedy dr. Ellenbogen krytykował działalność antysemitów i partyi klerykałów katolickich. Przyszło nawet z tego powodu do śmiesznej sceny i nieporozumienia, której jednak tutaj opisywać nie będę, bo by mnie to za daleko odwiodło od rzeczy. Po przemówieniu dr. Ellenbogena posypały się interpelacye jedna za drugą, mniej lub więcej niedorzeczne, na każdą z nich Ellenbogen sam odpowiadał pomimo zmęczenia. Ciągnęły się one dobre dwie godziny, nareszcie sam Ellenbogen odmówił dalszych odpowiedzi i prezydujący, towarzysz Danel, stolarz, postawił zapytanie, czy zgromadzenie przyjmuje kandydaturę dr. Ellenbogena. Na to rozległ się śmiech homeryczny i drwiące okrzyki: „Ja wohl! Ja wohl! Ueberall!" Nawet prezydujący, zwykle poważny, nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Gromadka robotników zaśpiewała „Das Lied der Arbeit", lecz wkrótce zamilkła, zagłuszona wrzawą rozweselonej burżuazyi. Rezultatem tego zgromadzenia było, że dr. Ellenbogen w Cieszynie *nie otrzymał ani jednego głosu*. Bo i któż miał dać? proletaryat prawa wyborczego nie posiada, a któż by z pośród drobnej i grubszej burżuazyi głosował na socyalnego demokratę?...

Wogóle próba z dr em Ellenbogenem była zupełnie chybiona. Zrobiono to bez namysłu i niedołężnie nad wyraz. Poco było narażać się na śmieszność, tracić czas na uświadamianie burżuazyi na zgromadzeniu, wobec tego, że w takim Cieszynie niema komu dotychczas zająć się poważnie uświadamianiem proletaryatu. Jest to marnotrawstwo karygodne wystrzeliwanie prochu na wiatr. Ale to nie wszystko. Jeszcze bardziej socyalni demokraci tutejsi skompromitowali się przez niejakiego dr-a Molina. Kto jest ten pan? — zapytacie. Otóż wymaga to bliższego objaśnienia. Jest to szlązak z pochodzenia, który przez lat wiele był nauczycielem języka niemieckiego w gimnazyum w Krakowie. Jak się on tam zachowywał przez czas swego pobytu, dokładnie nie wiem, wiadome jest tylko to, że parę lat temu starał się o profesurę na uniwersytecie, ale mu z jakichś względów odmówiono stanowczo. Postanowił więc mścić się na polakach i Polsce, wziął dymisyę i wrócił na Szląsk. Tu zaciągnął się pod sztandar d-ra Haasego i od czasu do czasu pisał artykuliki do „Nowego Czasu" przeciwko polakom, gimnazyum polskiemu etc. Tanim kosztem został sławnym. Przez jakiś czas o niczem tutaj nie mówiono, tylko o Molinie, Moliniarzach, Moliniadach.... A nie tylko tu, ale po całej Galicyi. Zaczęto tworzyć przysłowia, anegdoty, słowem całą literaturę na temat Molina. Pan Ignacy Żółtowski, „dobroczyńca" szlązaków, który w młodości Molina dawał mu przez lat kilka stypendya, zwrócił się teraz do niego publicznie, aby oddał wyłożone przezeń kwoty na.... gimnazyum polskie w Cieszynie. Oczywiście Molin wykręcił się sianem, skompromitował się ofiarowaniem stypendyum dla ucznia, „mówiącego po polsku, ale czującego po niemiecku", bo stypendyum tego władza szkolna nie przyjęła itd. itd. Wówczas otrzymał okropne frycowanie od wielu pism polskich, gdy jednak żądał od d-ra Haasego, aby go wziął w obronę, ten stanowczo mu odmówił, a nie chcąc mieć więcej do czynienia z półgłówkiem, zerwał z nim stosunki. Wtedy biedny Molin szukał jakiegoś nowego sprzymierzeńca, ale długo znaleść go nie mógł. I stało się tak nareszcie, że był na owem zgromadzeniu d-ra Ellenbogena i przyszła mu myśl połączyć się z socyalnymi demokratami. Na drugi czy trzeci dzień po tem zgłosił się do urządzających to zgromadzenie i zaproponował, że on podejmie się swoim kosztem wydrukować plakaty, wzywające do głosowania na d-ra Ellenbogena. Szkoda wielka, że, nie znając człowieka, przystano na to. Zaraz więc pojawiły się plakaty w języku niemieckim, na których u spodu drobnym drukiem był napis „Verlag von dr. I. Molin." Nie dziwię się wcale, że tutejsze pisma polskie wzięły to na zęby i wyzyskały na niekorzyść socyalnych demokratów. Łączenie się z takim człowiekiem, chociażby nawet tak luźne, jak w tym wypadku, zaszczytu partyi nie przynosi. Skutki to są tego, że wśród tutejszych przywódców

robotników niema żadnej tęższej głowy, ani jednego człowieka z charakterem. Swoją drogą odezwa powyższa była napisana nieźle, chociaż ją redagował nie socyalista. Zwracała się do wszystkich partyi, na Szląsku istniejących, i do wszystkich narodowości. Do polaków przemawiała w te słowa: „Polen. wählet social demokratisch! Lasset die Freunde fortschrittlicher Bildung die Hoffnung schöpfen, dass Ihr in Euerem Gymnasium die schlesisch-polnische Proletarierjugend nicht im Geiste der Schlachzizen und Pfaffen, sondern proletarierfreundlich erziehen wollet!“

Nadzwyczaj nędznie wypadło zgromadzenie przedwyborcze połączonych polaków, czechów i niemców konserwatywnych. W godzinę po naznaczonym terminie jeszcze pustki były w sali. Rozpoczął po polsku dr. Jan Michejda, przedstawił d-ra Moraveca, poczem tenże w języku niemieckim „rozwijał swój program“, cedząc wyraz po wyrazie w ciągu kwadransa. Że nie zapalił słuchaczów, łatwo się domyśleć. Ale już sama powierzchowność, ruchy zdradzały albo wielkiego niedołęgę, albo bardzo nieśmiałego człowieka, przytem dość ograniczonego na umyśle. Przy wyborach też otrzymał w Cieszynie głosów zaledwie 60, t. j. tylko o 7 więcej od Michejdy w r. 1892.

Ogólny rezultat wyborów najlepiej uwidoczni się z poniższej tabliczki, na której także są wybory przedostatnie. Objaśniam tu jeszcze, że z ośmiu miast pierwsze cztery leżą w ks. Cieszyńskiem, drugie cztery w opawskiej części Szląska, wśród niemiecko-czeskiej ludności. Frydek ma także czechów i niemców. to szczególniej w odniesieniu do Frydka, gdzie polak Michejda trzy lata temu otrzymał 102 głosy, a Moravec obecnie tylko 29. Co do Ellenbogena, wszystkie głosy na niego dano w opawskiej części, w ks. Cieszyńskiem nie otrzymał ani jednego. Od jakiej kategoryi wyborców pochodzą te głosy, nie jest mi wiadomo. Jak zaś fikcyjnem było owo stronnictwo połączonych polaków, czechów i konserwatywnych niemców, dowodzi fakt, że wielu księży katolickiego wyznania głosowało na *liberalnego* Demla, między nimi sam generalny wikaryusz, ks. Findinski, niemiec. — Charakterystycznem także jest uchylanie się znacznej liczby wyborców od głosowania; dowodzi to ogromnej bierności i obojętności mieszkańców na sprawy konstytucyjne. Ten sam objaw nawet w większych rozmiarach, zaznaczyć się daje przy wyborach do rad gminnych; przeciętnie połowa uprawnionych do głosowania oddaje kartki próżne. Ciekawem byłoby przekonać się, co za ludzie stanowią tę bierną masę. Co do mnie, mocno podejrzywam, że to są przeważnie polacy, nie uczuwający w warunkach obecnych żadnego interesu do wdawania się w te sprawy. Byłby to skutek polityki polskich narodowców, którzy na ludność miast zupełnie wpływu nie mają i mieć widocznie nie chcą. Kto wie, czy by kandydat „narodowy“ nie przeszedł, gdyby choć część z tej biernej masy przeciągnął na swoją stronę. Powinno to być wskazówką na przyszłość dla kandydata socyalistycznego, który wśród nich zapewne przy pewnych staraniach mógłby uzyskać może i poważną ilość głosów, ale to

NAZWISKO	Cieszyn	Frydek	Frysztat	Bogumin	Bielowiec	Odrawy	Witków	Klimkowice	Ogółem otrzymał gł.
Ilość uprawnionych w 1892 r. do głosowania miesz.	1.098	481	222	68	370	256	220	100	
Rok 1892 (22 listopada)									
Klucki	712	202	61	27	46	65	138	21	1.272
Michejda	53	102	8	3	6	3	—	69	244
Rosner	60	33	63	1	188	83	25	4	457
Ogółem oddan. gł.	825	337	132	31	240	151	163	94	
Rok 1895 (24 października)									
Demel	695	188	51	24	41	49	45	21	1.114
Rosner	129	87	61	4	188	50	78	2	599
Moravec	60	29	5	15	3	1	—	87	200
Ellenbogen . . .	—	—	—	—	12	5	22	2	41
Ogółem oddano gł.	884	304	117	43	244	105	145	112	

Z powyższej tabliczki widzimy, że stronnictwo liberalne w tym roku straciło na rzecz nacyonałów niemieckich sto kilkadziesiąt głosów. Że czech Moravec otrzymał tak mało głosów w czesko-niemieckich miastach, tłomaczy się tem, że nie postarał się wcale o to, aby dać się poznać zawczasu wyborcom, razi trzeba zacząć od... abecadła, o czem już pisałem w liście poprzednim.

Jest powszechne przekonanie u dalej widzących ludzi, że zaprowadzenie powszechnego głosowania zupełnie by zmieniło stosunki tutejsze i że wychodziliby wtedy z urny posłowie narodowi, rozumie się do tego czasu,

póki by socyalni demokraci i wogóle partye opozycyjno-ludowe nie odepchnęły ich na plan drugi. Dlatego też i taki ks. Londzin jest zwolennikiem powszechnego głosowania w przewidywaniu na ten wypadek zmiażdżenia przewagi niemieckiej. Lecz posłowie szląscy, a głównie p. Michejda i ks. Świeży na wszystkich zgromadzeniach relacyjnych i innych wyraźnie i stanowczo wypowiadają się przeciwko powszechnemu głosowaniu, twierdząc, że na razie szlązacy powinni się tylko starać o powiększenie ilości posłów i zmianę rozgraniczenia okręgów wyborczych. I wyznając takie zasady, jednocześnie biadają, że przy obecnych stosunkach z miast szląskich nie może wyjść nigdy poseł narodowy, i żalą się z tego powodu przed całą Polską, a Polska w to wierzy, że ten ich żal jest szczerym.

Przy wyborach ostatnich polacy cieszyńscy doczekali się pewnej nowości. Jak wiadomo, Cieszyn jest w połowie polski, w połowie niemiecki; czechów w r. 1890 było 599. Otóż dotychczas kartki wyborcze były niemiecko-polskie. Tym razem zaś wszyscy wyborcy otrzymali ze starostwa druczki niemiecko-czeskie. Zmianę tę mamy do zawdzięczenia zapewne nowemu staroście, p. *Dobrovskému*, czechowi, przybyłemu na miejsce zmarłego latem Zopotha, polaka z Galicyi. Ale myślicie może, że narodowcy cieszyńscy zaprotestowali przeciwko takiemu ignorowaniu języka polskiego? Broń Boże! To by za drogo kosztowało. Od pewnego już czasu zauważyłem, że coraz częściej zdarzają się obwieszczenia różnych władz w językach niemieckim i czeskim, z pominięciem polskiego, np. wszystkie ogłoszenia od urzędu pocztowego, bo co do gminy, to ta stale od dawien dawna tylko niemieckiego języka używa. Wszyscy do tego już przywykli.

Istniejące tu w Cieszynie od lat kilku „Stowarzyszenie robotnicze oświaty“ (Arbeiter Bildungs Verein), które w ostatnich czasach marnie wegetowało, zmieniło się w październiku na stowarzyszenie mieszane, oświatowo-zapomogowe. Na zgromadzenie pierwsze na podstawie nowego statutu, ogłoszone polsko-niemieckimi plakatami, zeszła się bardzo szczupła stosunkowo liczba robotników. Przebieg obrad niczem ważniejszem się nie zaznaczył. Przemawiało kilku towarzyszów, wyjaśniając statut i zachęcając do przystępowania. Najlepsze wrażenie robiły polskie przemówienia tow. Sojki z Biały, który jest, pomimo małego wykształcenia szkolnego, inteligentnym i zdolnym agitatorem, niemniej doskonałym mówcą. Zazdrościć można Białej, że takiego człowieka posiada; w Cieszynie dotychczas zbywa nam na takim przywódzcy. Dodać mi jeszcze wypada, że nowe stowarzyszenie nazwało się po polsku stowarzyszeniem „rękodzielników“. Otwarcie powiem, że mi ta nazwa wcale nie podobała się. Za bardzo ona przypomina galicyjskie stowarzyszenia „rękodzielnicze“, owe „Gwiazdy“, „Zgody“, „Ojczyzny“ itp., kierowane przez klechów i pobierające subsydye od Wydziału krajowego, a mimo to ledwie dychające. Socyalistycznym towarzystwom nie wypada przyswajać sobie tej średniowiecznej nazwy.

W d. 4 listopada otwarto w Cieszynie zimową szkołę rolniczą z polskim językiem wykładowym. Kurs trwa od 1 listopada do 1 maja. Znaczenie jej nie wielkie, bo liczba uczniów ograniczona do 25. Warto tutaj wspomnieć o tem, że pastor Michejda, redaktor „Rolnika szląskiego“ i poseł Michejda, brat jego, w takiej trzymali tajemnicy tę sprawę, że „Gwiazdka Cieszyńska“ dowiedziała się o otwarciu dopiero w parę dni potem. A zrobili oni to dlatego, aby pomiędzy uczniami byli sami ewangelicy, co osiągnęli bardzo łatwo, bo przyjęto teraz uczniów tylko 18, ponieważ na więcej pomieszczenia niema, a katolika w tem ani jednego. Dlaczego to zrobili? Dlatego, aby w danym razie rodakom z innych dzielnic wykazać czarno na białem, że tylko ewangelicki lud dba o oświatę i podniesienie kultury, a katolicki to — ciemna hołota. To zwykła ich taktyka. Wścieka też ich okropnie to, że wśród 95 uczniów gimnazyum polskiego znajduje się tylko 18 ewangelików, a zatem połowa zaledwie tego, co być powinno. Pomimo to p. Jan Michejda, który jest stałym korespondentem „Czasu“ krakowskiego, we wrześniu zapewniał, że „stosunek ewangelików do katolików *będzie* ten sam, jaki istnieje wśród ludności Księstwa, a zatem jak $^1/_3$ do $^2/_3$“. Fakty temu przeczą stanowczo.

W początku listopada postawiono Stalmachowi na cmentarzu katolickim w Cieszynie nagrobek marmurowy, o wdzięcznej strukturze, z następującym napisem

„Pawłowi Stalmachowi, nieustraszonemu bojownikowi za prawa narodowe, który wzbudził do życia lud polski na Szląsku, postawili ten pomnik wdzięczni rodacy. Urodzony 13 sierpnia 1824 r., zmarł 13 listopada 1891 r.“

Dodać muszę dla ścisłości, że „wdzięcznymi rodakami“ byli wyłącznie katolicy. Na stu kilkudziesięciu szlązaków znalazł się zaledwie jeden ewangelik i to oddawna mieszkający w Galicyi, który dał 6 złotych, Czytelnicy, którzy czytali poprzednie listy, zrozumieją konsekwencyę narodowców ewangelickich — nie daje się nawet grosza na pomnik dla nieprzejednanego wroga, zwłaszcza jeśli ten wróg na śmiertelnem łożu przyjął wyznanie rzymsko-katolickie, jak gdyby tym ostatnim czynem protestując przeciwko własnym współwyznawcom, którzy mu życie zatruli. Sprawiedliwość nakazuje mi wyznać, że kler katolicki nie wyzyskuje w tym stopniu owego „powrócenia na łono prawdziwego kościoła“, jak się to gdzieindziej dziać zwykło. Naprz. z okazyi postawienia pomnika mogli byli księża urządzić jakąś demonstracyę arcy-katolicką, tymczasem najskromniejszego nabożeństwa nie było nawet.

Ksiądz Stojałowski, znany przywódzca stronnictwa chrześciańsko-ludowego, prześladowany tak w ostatnich czasach, który w połowie października dopiero opuścił więzienie cieszyńskie, w listopadzie znowu miał proces o obrazę władzy, obrazę honoru, wyrządzoną urzędnikom w urzędowaniu, i mieszanie się do czynności urzędowych. Skazany został na trzy tygodnie aresztu, lecz przeciw wyrokowi temu wniósł rekurs; w obecnej chwili (koniec listopada) przebywa na wolności. Kilka razy zamierzał tu w Cieszynie urządzać zgromadzenia ludowe, na jednem z nich miał przemawiać dr. Malec z Wiednia o programie stronnictwa socyalno-chrześciańskiego, ale każdy raz władza odmawia zezwolenia, motywując to obawą naruszenia spokoju publicznego. Czuć i tutaj „żelazną rękę“ hr. Badeniego. Serdeczni to przyjaciele! Prawdopodobnie na pierwszem zaraz zgromadzeniu, gdyby mu pozwolili je urządzić, nie zawahałby się zaatakować na swój sposób „hr. Kazia“, ale tymczasem musi się hamować.

Niedawno też ks. biskup Jan Puzyna zakazał surowo księżom w swojej archidyecezyi dopuszczać ks. Stojałowskiego do odprawiania mszy, właściwie więc czemże jest on obecnie, jak nie zwykłym, świeckim śmiertelnikiem? Nuncyusz Agliardi zażądał od niego, aby natychmiast po opuszczeniu więzienia (jeszcze w październiku) powrócił do swojej dyecezyi antiwarskiej, tymczasem sąd cieszyński wziął od niego piśmienną deklaracyę, że do czasu uregulowania sprawy nie wydali się z granic państwa. Zabawne nieporozumienie! ks. Stojałowski i bez tego kpić sobie może z nuncyusza, bo od swego arcybiskupa Milinowića ma urlop kilkoletni, który jeszcze nie prędko się skończy.

Donoszę Wam jeszcze, że od 1-go września r. b. istniała w Cieszynie bezpłatna wypożyczalnia książek pod opieką (!) „Związku szląskich katolików“, która już obecnie dzięki ks. Świeżemu — nie istnieje. O ile wiem funkcyonowała bardzo dobrze i dość szybko się rozwijała, a jako pierwsza próba do rozbudzenia i uregulowania czytelnictwa wśród ludności polskiej Cieszyna, zwracała mą uwagę. Obecnie, jak się właśnie dowiaduję, została zamknięta, ponieważ ks. Świeży przekonał się dopiero teraz, że właściwie statut „Związku“ nie pozwala na opiekowanie się taką instytucyą. Ma więc być ten statut odpowiednio zmieniony, poczem wypożyczalnia na nowo otworzoną zostanie. Co do mnie, znając doskonale ks. Świeżego, zapewnić mogę, że działa tutaj wyłącznie nieusprawiedliwiony niczem strach przed panującą partyą liberalną i że nawet po zmianie statutu wypożyczalnia ta pod tą samą firmą już nie powstanie. Zdaje mi się, że zupełnie nic na rozwodzie tym nie straci. Powinna sobie wynaleść firmę bardziej odpowiednią. Zachodzi też przypuszczenie, czy postąpienie ks. Świeżego nie zaszło pod wpływem kliki michejdowców, którym ta wypożyczalnia była solą w oku. Całkiem to możliwe ; znamy już tych panów.

Jeszcze jedna wiadomość. Dyrekcya gimnazyum polskiego otrzymała z ust Langhausa, inspektora szkolnego, nakaz *ustny*, aby wydalić z gimnazyum 14 uczniów, jako niezdolnych i słabo postępujących w nauce. Polecenie to już wykonane zostało. Jeden tylko z ojców założył rekurs, powołując się na bezprawność tego kroku. Jaki sprawa weźmie obrót, nie wiadomo jeszcze. Faktem zaś jest, że pomiędzy wydalonymi uczniami było kilku takich, którzy żadną miarą na cóś podobnego sobie nie zasłużyli. Postępek ze strony władzy istotnie czysto w stylu moskiewskim, ale poza dyrekcyą gimnazyum stoi „Macierz“ i stoją posłowie, którzy powinni przeciwko temu głos podnieść coprędzej i domagać się cofnięcia nakazu. Tymczasem dotychczas nikt z tych panów nawet nie wie, czy rada szkolna krajowa ma prawo takie sztuki urządzać i czy dyrekcya ma obowiązek *ustnym* nakazom w tak ważnej sprawie ulegać. Ciekawa rzecz, co się stanie z gimnazyum, jeśli taki Langhaus za parę miesięcy znowu zażąda usunięcia np. 20-tu uczniów i tak aż do skutku, póki wszystkich nie rozpędzą na cztery wiatry.... W cóż się obrócą marzenia naszych patryotów, którzy w tem gimnazyum widzą zbawienie ?...

Szląsk austryacki w przeciągu ubiegłych kilkunastu miesięcy nie schodził prawie ze szpalt dzienników, tygodników etc. Gdyby tak zebrać wszystko, co się w tym czasie napisało o stosunkach tutejszych, utworzyłaby się bardzo poważna ilość tomów. Oto w obecnej chwili „Przełom“ wiedeński drukuje „artykuły“ p. Franciszka Rawity (Gawrońskiego) o ks. Cieszyńskim, które są reprodukcyą tego, co mu podyktował znany już czytelnikom „Przedświtu“ pastor Fr. Michejda ; niedawno też stowarzyszenie akademickie w Wiedniu „Ognisko“ przy sprawozdaniu za r. 1894/5 dodało „rozprawę“ p. Jana z Borku p. t. „Stosunki polskie w ks. Cieszyńskiem“, z której albo nic się nowego nie dowiadujemy, albo też niedorzeczne tylko ogólniki, lub tendencyjne fałsze. Z obu temi elukubracyami rozprawiać się tutaj nie będziemy, bo na to „Przedświt“ ma za mało miejsca, postaramy się to zrobić gdzieindziej. Wprzyszłym liście podamy statystyczne wiadomości o górnictwie w okręgu Ostrawsko-Karwińskim.

Kresowiec.

CARMAUX

Carmaux i Madagaskar — przez trzy miesiące te dwa wyrazy były hasłami nienawiści i walki, w których streszczała się cała agitacya francuskiej partyi socyalistycznej. Z jednej strony, tysiące młodzieży robotniczej lub chłopskiej, posłane na odległą wyspę o zabójczym klimacie w celu dostarczenia nowych rynków swym wyzyskiwaczom i mrące jak muchy, na febrę i dysenteryę, bez lekarstw, bez bagażów niemal, dzięki ludożerczej prawdziwie chciwości dostawców furgonów, które łamały się co krok i zapłaconej niedbałości urzędników. Z drugiej, przeszło tysiąc mężczyzn, kobiet i dzieci, rzuconych na bruk z całą bezwzględnością przez jednego człowieka i zagrożonych śmiercią głodową — lub spodleniem — dlatego, że jak się wyraził Jaurès, „jedno włókienko próżności zadrgało w mózgu jednego człowieka“ !

Takimi blaskami zajaśniał w drugiej połowie tego roku we Francyi ustrój kapitalistyczny. Świadoma działalność socyalistów, którzy dali dowody niebywałej dotychczas we Francyi szerokości i głębokości ruchu, zamieniła je niemal na łunę pożarną. Sprawa Madagaskaru pozostała bezkarną, bo, wbrew żądaniu socyalistów, radykalni ministrowie odmówili pozwania przed komisyę śledczą parlamentu swych oportunistycznych przeciwników, którzy kierowali wyprawą. Zato bezrobocie hutników w hucie szklanej w Carmaux, które trwało *cztery miesiące,* choć skończyło się niezupełnem zwycięstwem, a, rzec można, tylko okopaniem się robotników na obronnem stanowisku, zelektryzowało i porwało do walki klasę robotniczą we wszystkich niemal zakątkach kraju, przyciągnęło do niej sporą część przedstawicieli „klas pośrednich“ (drobnego mieszczaństwa i inteligencyi), przeciwstawiło proletaryat kapitalizmowi na całej linii i wszystkiemi stronami, pokazało, jaką pierwszy jest już siłą moralną i materyalną ; prócz tego, uwydatniło kilka ciekawych i ważnych stron rozwoju społecznego i taktyki partyjnej. Jednem słowem, było to, w całem znaczeniu tego wyrazu, bezrobocie historyczne i jako takie, na dokładny opis zasługuje.

W departamencie Tarn, na południu Francyi, niedaleko Tuluzy, leży miasteczko Carmaux oddawna ożywione znacznym przemysłowym ruchem. Sąsiadują tam z sobą wielkie kopalnie węgla i znaczne huty szklane. Górnicy i hutnicy, nagromadzeni w znacznej ilości, oddawna przejęci są duchem buntu : jeszcze w r. 1867, za cesarstwa, były tu poważne rozruchy górników z powodu obniżenia płacy ; a w r. 1893 odbyło się wielkie i długie bezrobocie górników, które skończyło się sądem rozjemczym ówczesnego prezesa ministrów Loubeta. W latach 1881, 1883, czyli jeszcze przed wydaniem (w r. 1884) prawa (przez Waldecka-Rousseau w gabinecie Ferry'ego), pozwalającego na zakładanie syndykatów, hutnicy próbowali już połączyć się i zorganizować. To też, gdy w r. 1892, po dymisyi konserwatywnego posła, właściciela kopalni markiza de Solages, postawił tam swą kandydaturę profesor filozofii w uniwersytecie tuluzkim, socyalista Jan Jaurès. został on z łatwością obrany posłem, a w r. 1893, podczas wyborów ogólnych, wybrano go ponownie na cztery lata.

Wybitne stanowisko, jakie zajął odrazu Jaurès w parlamencie, oraz szybkie rozszerzanie się socyalizmu z Carmaux na okoliczną ludność wiejską zwróciły na ten punkt szczególną uwagę reakcyjnych rządów Dupuy'a i Perier'a, które po wyborach tu zapanowały. Dupuy szczególniej postanowił sobie, że się Jaurès'a z parlamentu pozbędzie, a w tym celu uznał za konieczne rozbić organizacyę robotniczą w Carmaux

i steroryzować robotników, aby socyalisty nie wybierali. Leżało to również w interesie właścicieli kopalni i huty, więc oddawna już zaczęły się między rządem a nimi konszachty. Rzeczą jest pewną, że Dupuy umówił się z przedsiębiorcami, aby nieznacznie nagromadzili zapasy wyrobów, które by im pozwoliły długo opierać się strejkowi. Szczególniej przypadły te propozycye do smaku właścicielowi huty, a raczej właścicielowi większej części akcyi tej huty i administratorowi jej, Rességuier'owi.

Ten 70-letni starzec — to typ bezwzględnego, despotycznego dorobkiewicza, nie cofającego się przed żadnymi środkami; typ w dodatku kapitalisty francuskiego, rozzuchwalonego stuletniem panowaniem mieszczaństwa; politykującego republikanina, dlatego, że trzecia republika panowanie to uczyniła niepodzielnem; tłomaczącego z całą czelnością hasła wolności, równości i porządku na język swych interesów i przyzwyczajonego do pojmowania zależnej od siebie machiny państwowej nie inaczej, niż jako policyę do obrony tych podniesionych do godności hasła interesów. — Rességuier był ubogim przed 40 — 50 laty; dziś posiada około 8 milionów fr., a akcyonaryusze huty otrzymują 7% dywidendy, gdy normalny procent we Francyi jest 2 — 3. Zwykłe sposoby nagromadzania: różne rodzaje wyzysku siły roboczej, nie wystarczały mu: nawet według pojęcia dzisiejszego kodeksu krzywdził robotnika. Jeden z hutników wynalazł formę do odlewu, przynoszącą znaczne korzyści, i zaproponował Ress. jej kupno; spotkał się z odmową i odprzedał wynalazek innemu fabrykantowi. Ress. jednak wyprobował wynalazek i, pomimo patentu cudzego, wprowadził go u siebie....

Po założeniu syndykatu, R. usiłował spożytkować go dla swoich celów: syndykat dawał mu nawet informacye co do uzdolnień robotników, pragnących wstąpić do huty. Chytry fabrykant chciał raz pobudzić syndykat do wywołania ogólnego bezrobocia hutników w celu podkopania swych konkurentów, i obiecywał nawet dać na ten cel pieniądze; odmówiono mu. W końcu, zachciało mu się być senatorem czy deputowanym, więc od syndykatu zażądał podczas wyborów świadectwa, że jest dobrym chlebodawcą i republikaninem, przyjacielem ludu. Socyalistyczny syndykat odprawił go z kwitkiem — i pan Rességuier przy wyborach przepadł....

Odtąd poprzysiągł on syndykatowi zemstę i zagładę. Już to wogóle w syndykatach widzą kapitaliści francuscy swych najgorszych wrogów i wytężają wszelkie siły, szukają wszelkich środków, aby ich rozwój powstrzymać. Dzięki stowarzyszeniu zawodowemu najemnik nie staje już na rynku wobec kapitalisty, jako „równa wobec równej“ strona umowy najemnej; stowarzyszenie zawodowe, jak powiadają nawet katedery, łagodzi obniżające płacę działanie nadmiaru rąk roboczych. To też dla burżuja i „ekonomisty“ francuskiego, prawowiernego spadkobiercy zasad rewolucyi francuskiej, syndykat robotniczy jest zaprzeczeniem jednej ze świętych zasad: wolności. Jest on dla nich zupełnie tem samem i tylko tem samem, czem cech przedrewolucyjny: przeszkodą do zatomizowania społeczeństwa, do zupełnego odosobnienia posiadaczy towaru-siły roboczej, które tak jest dla nich potrzebne. Oni uznają tylko „stowarzyszenie rzeczowe“: koncentracyę kapitałów; stowarzyszenie ludzi — to reakcya! Nie poto robili rewolucyę, „uświeccali“ zakony, rozwiązywali cechy, znosili pańszczyznę, aby im się teraz pod nosem robotnik w wyższej formie łączyć zaczynał! Stąd wszelkie krzyki na „tyranię syndykatów“, mieszających im się do płac, czasu pracy i przepisów fabrycznych, a czasem składu personalu (gdy trzeba jakiego łotra czy zdrajcę wyrzucić). Stąd też stała niechęć do układania się z syndykatem, jako zbiorowem przedstawicielstwem robotników, — a więc faktyczne nieuznawanie syndykatów, pomimo i wbrew prawu z r. 1884, które je uprawniło.

Umowa tedy stanęła między Dupuy'em a Rességuier., potwierdzona przez następcę pierwszego w ministeryum spraw wewnętrznych, hulakę i rozpustnika Leygues'a. Postanowiono zgnieść syndykat hutniczy, a potem górniczy, za jakąbądź cenę. — Więc już w kwietniu Rességuier zaczął od małego oszukaństwa. Gdy się robotnikowi butelka nie udaje, nie płacą mu za nią nic; lecz mimo to można ją sprzedać po zniżonej cenie. Tym sposobem w interesie fabrykanta leży jak najwięcej butelek uznać za nieudatne. Aby temu zapobiedz, robotnicy dawniej wytargowali, że butelki odrzucone będą w ich oczach tłuczone i topione nanowo. R. oświadczył, że to ustępstwo cofa; robotnicy widzieli odrazu, że szuka umyślnej zaczepki, widzieli, że walka będzie nierówna, — i ustąpili.

Zaczęto z innej beczki. Górnik-socyalista Calvignac był obrany merem Carmaux. Dupuy, na mocy centralistycznych praw francuskich, tak ograniczających samorząd miast i gmin, pod pierwszym lepszym pozorem dał mu dymisyę. Wtedy rada obrała merem innego górnika, Mazensa, pod warunkiem, że po roku ustąpi, aby znów można było wybrać Calvignaca. Mazens obiecał; lecz przekupiony przez ajentów ministra, zdradził i po roku odmówił spełnienia obietnicy, podania się do dymisyi. Zato na posiedzeniu rady Calvignac i inny rajca, hutnik Baudot, rzucili mu w twarz słowo: zdrajca. Za obrazę urzędnika skazano obydwóch na więzienie, przez co na 5 lat utracili oni prawa obywatelskie: wybierania i obieralności. Tego tylko pragnęli fabrykanci i rząd!

Na znak protestu przeciw temu bezczelnemu wyrokowi, Carmaux w lipcu obrało Calvignac'a i Baudot'a radcami powiatowymi; oczywiście, wybór uznano za nieważny. W dodatku Baudot, dorocznym zwyczajem, korzystając z jednego dnia wypoczynku po czterech dniach pracy (praca bowiem jest tak ciężka, że tylko cztery dni z rzędu można pracować), zostawił zastępcę i pojechał wraz z drugim towarzyszem, Pelletier, jako delegat syndykatu na zjazd hutników w Marsylii. To posłużyło za pretekst. Baudot złamał jakoby prawo, agitując za swą kandydaturą pomimo utraty praw obywatelskich; a obydwa wyjechali bez pozwolenia (którego nigdy przed tem nie wymagano). D. 29 lipca dwóch delegatów wydalono raz na zawsze z fabryki. Rességuier wiedział, że hutnicy tego nie zniosą. Wszak była między nimi taka solidarność, że od lat kilkunastu robotnicy, pracujący od sztuki, naznaczyli sobie sami najwyższy zarobek: silniejsi i wprawniejsi oddawali słabszym i mniej wprawnym to, co zrobili po nad umówioną normę. Wszyscy należeli do syndykatu. Nie mogli zgodzić się na to, aby dwaj towarzysze byli kozłami ofiarnymi.

Rzeczywiście natychmiast poszła delegacya z prośbą o nieoddalanie Baudot'a i Pelletier, lub przynajmniej o pozbawienie ich pracy na dni kilka, niby za karę przekroczenia niestosowanych nigdy przepisów. Fabrykant odmówił stanowczo. Robotnicy zażądali sądu rozjemczego.

Istnieje we Francyi od paru lat prawo o sądach rozjemczych, przeprowadzone przez radykalistów i kulawe, jak każda rzecz pozytywna, którą ta dwulicowa partya czyni. Ma ono niby łagodzić zatargi klasowe, zapobiegać strejkom i nakazuje sędziemu pokoju przyjmować czynności rozjemcy, a nawet ofiarowywać się z niemi, gdy zatarg taki wybuchnie. Ale, po pierwsze, nic nie zmusza stron do przyjęcia sądu; powtóre, nic nie zmusza do przyjęcia wyroku wydanego, i za odrzucenie go niema żadnej kary, — oprócz chyba wyroku opinii publicznej. Mimo to, kapitaliści walczyli

przeciw temu platonicznemu prawu, a po jego ogłoszeniu nie chcą go wcale uznać. Kapitalista nie żąda sądu nigdy; a robotnicy — bardzo często; po większej części fabrykant odmawia. Chodzi im o zasadę, że *w swej fabryce każdy z nich jest panem absolutnym*, i że nikt się do jego czynów mieszać nie może. Najem robotnika jest wolną dwustronną umową: jeśli strona — robotnik nie przyjmuje jakiegokolwiek warunku, stawianego przez „pracodawcę", — może umowy nie zawierać, i koniec. To wypływa z litery i z ducha kodeksu cywilnego Napoleona. Mamy tu uderzający przykład stosowania przeżytych form i pojęć prawnych do nowej, rozsadzającej je treści społecznej. Jaurès wyjaśnił znakomicie to zjawisko, wyrażone w kardynalnej zasadzie materyalistycznej filozofii historyi, ludowi, zebranemu na jednem z licznych zgromadzeń w Tuluzie. „Każdy jest panem w swej chałupie", pracodawca może w każdej chwili oddalić robotnika, który mu się nie podoba: zasada taka odpowiada w zupełności drobnej, majsterskiej produkcyi. Czeladnik, oddalony w wiekach średnich, ba! cała nawet czeladź jakiegoś majstra, złożona z 3, 4, bodaj 10 ludzi, oddalona, mogła z łatwością znaleść zajęcie u innego, a w najgorszym razie jej cierpienia nie odbijały się na całem mieście, okolicy, społeczeństwie. Dziś, wobec wielkiej produkcyi, rzecz się ma inaczej; wydaleni — muszą po większej części ginąć, bo przedsiębiorcy monopolizują całe okolice i solidaryzują się ze sobą; a jeśli wydalonych jest większa liczba, jeśli np. fabrykant zamyka przedsiębiorstwo, to cierpi na tem cały handel i przemysł miejscowy, odbić to się może i musi na stanie moralnym, a nawet nieraz politycznym całego kraju. Gdy jeżdżono wozami po drogach wiejskich, nie potrzeba było dozoru społecznego; gdy wprowadzono koleje żelazne, które przecież z pewnego punktu widzenia, jednostronnego i abstrakcyjnego, nie są niczem innem, jak wozy średniowieczne, kierownictwo państwa stało się koniecznem dla uniknięcia wypadków, zawodów pasażerom etc. Wielkie przedsiębiorstwo usuwa się z nieubłaganą koniecznością z pod kierownictwa pojedyńczego właściciela. Ale klasowa ślepota i ufność we wspólnictwo rządu nie pozwala kapitalistom tego widzieć. — Rességuier oświadczył, że uważa sprawę Baudota za kwestyę „dyscypliny wewnętrznej", i żadnego sądu rozjemczego nie przyjmuje.

Nastała dla robotników chwila ciężka. Oczywistem było, że Ress. jest pewny pomocy rządu i gotów do długiego oporu. Z drugiej strony, ustępstwo — to poświęcenie towarzyszy i zachęta, fabrykantowi dana, do kolejnego wydalania najdzielniejszych członków syndykatu. Zwrócili się po radę do deputowanego swego Jaurès'a, który przybył natychmiast i poczynił wszelkie kroki, aby zmienić decyzyę Rességuiera. Gdy nic nie pomogło, rozejrzawszy się dobrze w sytuacyi, dał hutnikom taką radę: ustąpić, wrócić do pracy, a Baudot i Pelletierowi zapewnić byt drogą składek, dopóki nie znajdą zajęcia. Hutnicy, po długim oporze, przyjęli w końcu tę radę. Na czwarty dzień po zaprzestaniu pracy wyrazili chęć powrotu. Wtedy — Rességuier odsłonił swą grę: ogłosił, że piece gasi, że wszystkim robotnikom zwraca książeczki, uważa ich za wydalonych; a gdy po pewnym czasie zechce mu się otworzyć hutę nanowo, to przyjmie tych tylko, których będzie potrzebował, i na warunkach, jakie uzna za stosowne.

Wszystkie zamiary fabrykanta i rządu stały się odrazu widoczne: gdy pod groźbą głodu robotnicy się poddadzą na łaskę i niełaskę, wszyscy członkowie zarządu syndykatu i wszyscy wogóle samodzielniejsi robotnicy nie zostaną przyjęci; a więc syndykat, ognisko ruchu socyalistycznego, zgnieciony; Jaurès nie zostanie w r. 1897 (a może wcześniej) wybrany; w dodatku — Rességuier zedrze kontrybucyę wojenną: zmniejszy płace.

To też, gdy wieść o *lock out* Rességuiera rozniosła się po kraju, podniósł się ogromny krzyk oburzenia na całej lewicy społecznej. Pisma socyalistyczne i bardziej radykalne wyjaśniły cały plan (*umiarkowane* „Echo de Paris" ogłosiło układy policyi z Mazensem i Rességuierem!) i wykazały, że jest to machinacya polityczna, że Baudot ucierpiał zato głównie, że ośmielił się być wybranym na radcę powiatowego, a wszyscy robotnicy zato, że mają odmienne od fabrykanta przekonania. Cała grupa organów opinii umiarkowanych, lecz nie zaprzedanych giełdzie i przedsiębiorcom, („postępowcy", radykaliści mniej czerwoni etc.) oburzyła się na Rességuiera zato, że odepchnął „wyciągniętą do zgody dłoń robotniczą". — „Jakto? — wołano — przedsiębiorcy żądają ciągle pokoju społecznego, piorunują na wichrzycieli, oskarżają posłów socyalistycznych o rozdmuchywanie strejków w celach agitacyi; a tu, gdy robotnicy przyjmują wszelkie warunki, gdy deputowany radzi im poddanie, fabrykant urządza bezrobocie? Po czyjej że stronie wina pożaru?" Jeden z członków zarządu huty i akcyonaryuszy, Sirven, bogaty fabrykant, publicznie zaprotestował przeciw czynowi Rességuier'a. — Nawet pisma zupełnie oportunistyczne i kapitalistyczno-konserwatywne (*Temps*, *Debaty*, *Siècle*, *Figaro*, *Gaulois*, etc.) z początku milczały, zaambarasowane widocznie waryackim krokiem Rességuiera; dopiero po paru dniach, wyczuwszy widocznie kierunek wiatru, wiejącego z ministeryum jak na komendę poczęły napadać na syndykat i Jaurès'a, że niby do tego doprowadzili.

Rozpoczęła się tedy walka. Francya robotnicza powiedziała sobie, że zagłodzić hutników nie pozwoli, i „kartacze miedziaków" posypały się na hutę w Carmaux. Najpierw górnicy — sąsiedzi obłożyli się podatkiem. Baron Reille, właściciel kopalni, konserwatysta, którego niegdyś, w okresie walki o byt rzeczypospolitej, Rességuier był zaciętym przeciwnikiem politycznym, dziś z nim we wspólnej walce o byt kapitalizmu pogodzony, zmniejszył wtedy produkcyę i kazał pracować górnikom tylko 5 dni na tydzień zamiast 6, aby im owe składki uniemożebnić: nic nie pomogło. Reille spróbował prowokacyi: gdy wypadł doroczny zjazd syndykatów w Limoges, zabronił delegatowi z Carmaux, Calvignacowi, jechać, spodziewając się, że nieposłuszeństwo będzie powodem do wydalenia go i wywołania bezrobocia, co rozdwoiłoby siły robotnicze. Górnicy nie dali się złapać w zasadzkę: stawiając na pierwszym planie zwycięstwo hutników, jako kwestyę zasady i honoru socyalistycznego, Calvignac nie pojechał.

Obwołano po całej Francyi składki na Carmaux i rozpoczęto wielką kampanię zebraniową. Wszyscy deputowani socyalistyczni, wszyscy zdolniejsi mówcy rozsypali się po kraju, urządzając zgromadzenia, opowiadając na nich historyę strejku i jego charakter, zbierając pieniądze za wejścia. Zebrań takich, które miały zarazem wielkie agitacyjne znaczenie, było z pewnością w ciągu tych czterech miesięcy kilkaset. Najczynniejszy brał w nich udział, podwajał się i potrajał literalnie sam Jaurès.

Człowiek ten, który doprawdy budził w tej walce podziw i niemal uwielbienie najobojętniejszych, jest wogóle zjawiskiem niepospolitem. Urodzony w r. 1859 w Castres (dep. Tarn), ma dopiero lat 36. Po ukończeniu sławnej paryskiej Szkoły Normalnej, która wydała między innymi Taine'a, obrany został deputowanym z Tuluzy w r. 1885, czyli mając zaledwie wymagane prawem lat 25, — z programem t. zw. „lewego środka", czyli jak najumiarkowańszego republikanizmu, w rodzaju Leona Say'a lub Ribota.

Zasiadłszy w izbie, stawał się coraz radykalniejszym, w zupełnem przeciwieństwie do większości deputowanych, o których pewien stary wyborca powiedział : „trzeba łajdaków wybierać w jak najczerwieńszym kolorze, bo zawsze później płowieją“. W r. 1889 nie został ponownie wybrany i poświęcił się studyom teoretycznym nad społeczeństwem i filozofią, którą wykładał w uniwersytecie tuluskim. W r. 1892 doktoryzował się z filozofii w Sorbonie paryskiej; pamiętną będzie w rocznikach jej jego obrona dwóch tez : łacińskiej : „O początkach socyalizmu w pismach Lutra, Kanta, Fichtego i Hegla“; i francuskiej : „O rzeczywistości świata zewnętrznego“. Szczególniej to drugie dzieło, według zdania tak przyjaciół, jak przeciwników, zapowiada w nim pierwszorzędnego myśliciela, — któremu dziś agitacya praktyczna nie zostawia czasu na filozofię. W pierwszem i w jego obronie zajął stanowisko wyraźnie socyalistyczne, jakkolwiek z nieco idealistycznym odcieniem w pojmowaniu historyozofii marxistycznej. W r. 1892 wszedł znowu już jako socyalista rewolucyjny do izby, a gdy po wyborach ogólnych w r. 1893 utworzyła się tam liczna grupa socyalistyczna, zajął w niej między *leader*'ami, jak Guesde, Millerand, Vaillant, Rouanet — niezaprzeczenie pierwsze miejsce swą wspaniałą wymową, wiedzą i energią. Obawiano się wówczas, że, jako nowicyusz w socyalizmie, nie odczuje i nie zachowa dostatecznie jego klasowego charakteru; ale okazało się, że długą szkołę organizacyjną zastępuje mu skutecznie wiedza socyalistyczna i — szczere oddanie sprawie robotniczej dla niej samej. Działalność jego podczas bezrobocia w Carmaux przekonała do niego nawet najmniej ufnych klasowców, jakimi są allemaniści. — Nie było rzeczywiście dnia, żeby Jaurès nie przemawiał, nie drukował jakiegoś artykułu w tej kwestyi, nie użerał się z fabrykantem, urzędnikami, ministrami.

Głównem ogniskiem składek był paryski dziennik *„Petite République“*, wychodzący pod redakcyą A. Milleranda, najważniejszy organ stronnictwa socyalistycznego bez różnicy frakcyi; drugiem — „Depêche“, tuluski dziennik skrajnych radykalistów, liczący między swymi głównymi współpracownikami Jaurèsa. Zbierały też składki prawie wszystkie pisma socyalistyczne i kilka radykalistycznych, jak „Intransigeant“ bulanżysty Rocheforta, jak bardzo „spłowiała“ „Lanterne“ Maujana. Składki te objęły bardzo szerokie koła. Porwały, pobudziły do socyalistycznej solidarności masę całkiem obojętnych przedtem robotników, jak to wyraźnie widzieć było można z komentarzy i uwag, w jakie ofiarodawcy swe datki zaopatrywali. W kilku miejscach, na zebraniach (jak np. w depart. Basses-Alpes, bardzo zacofanym). posypały się na tace miedziaki chłopskie. Robotnicy zagraniczni, o ile nie byli zbyt zaabsorbowani własnemi sprawami, też przysłali pieniądze : najwięcej anglicy (rzecz symptomatyczna!). również belgijczycy, włosi, niemcy*). Co więcej, jak już wspomniałem, krzywda robotnicza była tak oczywista, zarówno jak duch reakcyi w całej sprawie, że znaczna część żywiołów zupełnie nie robotniczych przyjęła stronę hutników, wyraziła dobitnie swą opinię i dała pieniądze. Między ofiarodawcami figurowały nazwiska : senatora Ranc'a, czystego oportunisty, przyjaciela Constansów, prezesa syndykatu prasy paryskiej, który nie przestawał przez cały czas piętnować nadużyć rządowych w tej sprawie; Jerzego Clémenceau, długoletniego wodza radykalnej opozycyi w izbie, który za Grévy'ego o mały włos nie został prezesem ministrów; i wielu innych, które wywierały znaczne wrażenie na opinię. To samo stosuje się do listów, jakimi wyrażali swą solidarność hutnikom ludzie, jak sen. Verninac, dep. Goblet, Pelletan, Bazille, Leydet — ministrowie wczorajsi lub jutrzejsi, cenieni przez wszystkich republikanów. Mesureur, który obecnie jest ministrem handlu, przewodniczył na jednem z zebrań publicznych na korzyść Carmaux. 18 studentów Szkoły Normalnej dało składki w sposób demonstracyjny, co pozwoliło Jaurès'owi powiedzieć w izbie, że „dwa krańce nowego świata łączą się“. Konwent wolnomularstwa francuskiego dał 500 franków. Wolnomularstwo zaś było — i jest jeszcze — poważną siłą w życiu republikańskiem; należeli do niego prawie wszyscy mężowie stanu i ministrowie trzeciej rzeczypospolitej; dziś, nurtowane, jak cały radykalizm, przez prąd socyalistyczny, występujący jako logiczny dalszy ciąg zasad republikańskich, — pod wpływem zdarzeń w Carmaux, zadających w praktyce całkowity kłam tym zasadom, zwraca się wyraźnie na lewo — ku socyalizmowi. — Warto też zaznaczyć, że żywioły *konserwatywne* demokratyczne też popierały hutników. „Libre Parole“, antysemicki organ Drumonta, energicznie zwalczał Rességuiera i rząd i dał 100 fr.; na zebraniu w Tarbes rojalistyczny publicysta Darnaudet oświadczył, że broni zagrożonych syndykatów, jako „zawiązku przyszłej organizacyi społecznej“. Widzieliśmy tu już zresztą i wypadki stanowczego i szczerego przejścia od bonapartyzmu (opartego na żądaniu plebiscytu) do socyalizmu (dziennikarz Labordère). Dowodzi to wszystko jednej rzeczy : że demokratyczny ustrój i szeroka wolność słowa i rozpraw sprzyja potężnie rozszerzaniu się socyalizmu i interesom proletaryatu; nie ulega kwestyi, że we Francyi nawet antysemityzm musi być mniej reakcyjnym, niż w Rosyi, Polsce, a nawet w junkierskich Niemczech.

Wogóle, nie przesadzimy, jeśli ogólną sumę składek, które napłynęły na Carmaux, podamy na $^1/_2$ miliona franków.

Przeciwna jednak strona nie zasypiała gruszek w popiele. W społeczeństwie tak wolnem, jak Francya, wszystkie antagonizmy przybierają formę jak najbardziej jawną; to, co gdzieindziej ubranoby prawdopodobnie w chrześciańską szatę jakiegoś ojcostwa nad robotnikami, czy czegoś podobnego, tu wystąpiło wyraźnie jako walka patronatu przeciw proletaryatowi. Rességuiera ogłoszono za rycerza, za chorążego narodowego przemysłu francuskiego, który zginąłby, gdyby pozwolono na gospodarkę syndykatów.

Z inicyatywy starego łotra, Yves Guyota, prowadzącego w swym dzienniku „Siècle“ codzienną zażartą walkę przeciw socyalizmowi, towarzystwa przemysłowe, izby handlowe, zaczęły posyłać do Rességuiera telegramy, winszujące mu i zachęcające go do dalszego oporu. Ba! myślano nawet o tem, aby drogą składek publicznych ofiarować mu od całego przemysłu francuskiego podarunek pamiątkowy. Miał nim być posążek sławnego wynalazcy Bernarda Palissy, który w nędzy ostatnie swe meble połamał i rzucił w ogień, aby udoskonalić sposób wypalania porcelany, — z napisem : *„Moi, on ne me contraint pas, car je sçais mourir!“* (Mnie zmusić nie można, bo potrafię umrzeć). Słowami temi Palissy, hugonot, odpowiedział na groźby prześladowań; dzisiejsza burżuazya chciała z nich zrobić dewizę dla podrabiacza cudzych, robotniczych wynalazków, dla upartego wyzyskiwacza, którego nie wzruszała myśl o tem, że ci, co go zbogacili, w nadchodzące chłody może palić będą musieli swe własne stoły i łóżka! Tak tonąca w bagnie, zwyrodniała burżuazya chwyta się cieniów ze swego bohaterskiego okresu, gdy była klasą świeżą i żywotną i wcielała w sobie interesy społeczeństwa. —

*) Polacy, członkowie Z. Z. S. P., zamieszkali w Paryżu, dali też, co mogli; rosyanie — również.

Widocznie jednak odczuto śmieszność tego projektu, bo nie doszło do wykonania.

Tak więc Carmaux podzieliło wyraźnie całe społeczeństwo francuskie na dwa obozy : przeciw hutnikom i syndykatom, i za nimi. Aby ocenić należycie sytuacyę i zmierzyć zakres odniesionych przez partyę socyalistyczną korzyści, należy jednak zwrócić uwagę, że nie mówimy, jakby do tego może popchnąć chciał optymizm : *za i przeciw proletaryatowi*. Wiadomo, że trzecia rzeczpospolita, jak i wszystkie poprzednie mieszczańskie formy polityczne oparła się na barkach proletaryatu, któremu wzamian dać musiano pewną ilość ustępstw ; do nich należało owo prawo o syndykatach z r. 1884, powstałe, jak trafnie się wyrażają tutejsi politycy, w „okresie wstępującym“ rzeczypospolitej. Po ostatecznem zwycięstwie nad monarchizmem, które wyraziło się w powstaniu przed 5 — 6 laty frakcyi monarchistów „nawróconych“ do republiki, znaczna część republikanów, ze Spullerem i tym samym Waldeckiem-Rousseau na czele, poczuła potrzebę „nowego ducha“, zgody z kościołem, obrony porządku, jednem słowem, jak się wyraził jeden z nich, dep. Józef Reinach, „odbudowania tam, które się zburzyło w chwili uniesienia“. Do prób takiego „odbudowania“ należał, jako epizod, zamach na syndykat w Carmaux. Otóż, wobec tego dotykalnego faktu musieli wyraźnie oddzielić się jedni od drugich : zwolennicy „nowego ducha“ i — ci, co uważają swobody republikańskie za nabytek nieodwołalny, co cofnąć rozwoju demokratycznego ani o krok nie chcą. Sojusz więc między socyalistami a radykalistami, którzy są tu, wraz z antysemitami, przedstawicielami t. zw. „klas przejściowych“, był czysto obronny, negatywny. Gdy tylko przychodziło, w dyskusyi choćby, do pozytywnego rozwiązania kwestyi, do postawienia nowego kroku naprzód, zaraz występowały różnice między socyalistami a tamtymi, którzy muszą też dbać i o interesy przedsiębiorców. Wódz „radykałów-socyalistów“ Goblet proponował zaprowadzenie t. zw. przez siebie „kontraktu pracy“ na czas dłuższy, w celu zapobieżenia bezrobociom czy to robotników, czy przedsiębiorców : wszystkie warunki płacy, dyscypliny, etc. miały być obustronnie przyjęte na rok, czy pół roku, i zerwanie umowy przed upływem terminu karane. To wszystko, na co się zdobył jego „socyalistyczny“ radykalizm ! skutek byłby : przeniesienie zatargu i — strejku na chwilę zawierania owej umowy. — Inni żądali obowiązkowego sądu rozjemczego, nie wyjaśniając jednak, jak i czem zmusić strony, a szczególniej przedsiębiorcę, do poddania się jego wyrokowi. Środek zaradczy bowiem musi tu wychodzić poza ramy prywatnej własności ; przedstawił go socyalistyczny dep. Coutant, żądając, aby w razie przerwania przez fabrykanta produkcyi i pozostawienia robotników bez pracy bez dostatecznego ekonomicznego powodu (określenie zresztą również względne) państwo czy gmina poprostu go wywłaszczały, i to z wynagrodzeniem, lub nawet bez żadnego wynagrodzenia. Radykaliści przyjęli ten projekt bardzo chłodno.

Oczywiście, i sam ten obronny sojusz był — i jest zawsze — wielce korzystny dla socyalistów ; i mogą też oni spodziewać się, że przyciągnąwszy raz w ten sposób ku sobie lepszą część klas pośrednich, osiągną nad nią z czasem całkowite i prawdziwe przewodnictwo. Tylko nie powinni — tak we Francyi, jak we wszystkich krajach — ani przypuszczać optymistycznie, że pół narodu — to już socyaliści, ani zapominać, że, zarówno jak w Carmaux, prowadząc jedynie swą klasową walkę, stali się przedstawicielami i obrońcami wszystkich swobód republikańskich, tak też wogóle rozwijanie swego klasowego charakteru i spełnianie swych klasowych zadań uczyni z nich moralnych przewodników całej lewicy społecznej. Gdyby bowiem o tem zapomnieli, sprawdzić by się mogły słowa radykalisty, dzisiejszego ministra Lockroy, ktory pisał kiedyś, że „we Francyi na 10 kolektywistów jest może 2 takich, co na seryo myślą o uspołecznieniu bogactw, a u reszty — kolektywizm jest poprostu formą niezadowolenia, które stopnieje pod wpływem najmniejszych reform“.

W imię manczesterskiego dogmatu burżuazya twierdzi ciągle, że do zatargów między przedsiębiorcami i robotnikami rząd zupełnie mieszać się nie powinien, a czuwać jedynie i wyłącznie nad zachowaniem porządku i obroną t. zw. „wolności pracy“. Wracając do toku opowiadania, zobaczmy, jak sumiennie wywiązał się z tego obowiązku rząd Ribota, Leygues' i Trarieux'go*), trzech wybitniejszych we Francy łajdaków.

Gdy się Rességuier przekonał, że nadchodzące w coraz większej ilości pieniądze pozwolą hutnikom opierać się jak najdłużej, wyszedł ze swego olimpijskiego oczekiwania i zajął stanowisko napastnicze. Najpierw, wytoczył proces Jaurèsowi i „Petite République“, żądając tylko 100.000 fr. odszkodowania za to, że jakoby ich interwencya jedynie podsyca upór robotników i przynosi szkodę jego przedsiębiorstwu. Proces ten przyjdzie jeszcze przed kratki i będzie zapewne wysoce agitacyjny ; sądząc z ogólnego zdumienia, jakie wywołał, można być prawie pewnym, że go R. przegra, bo jest oczywistem, że ani Jaurès, ani dziennik nie przekroczyli w niczem prawa wolnej i publicznej krytyki i agitacyi ; w swoim czasie doniosę o jego wyniku. — Dalej, wprowadził w ruch całą zaprzedaną mu machinę administracyjną, policyjną i sądową. którą kierowali trzej godni kompanowie : prefekt (gubernator) Doux, komisarz Cordel i prokurator Bertrand. Zaczęły się przy końcu września prowokacye, areszty i rozwiązywanie zebrań : chciano steroryzować robotników. Podczas sądu nad robotnikiem Bélinem, oskarżonym o obrazę komisarza Cordela, prokurator wyraźnie i publicznie zawołał, zwracając się w stronę obecnego w sali Jaurèsa : — „Sędziowie, występek jest niewielki, lecz karzcie surowo, bo chodzi o Carmaux ! Niech robotnicy wiedzą, że nie mogą się spodziewać pobłażania, dopóki ten szkodliwy człowiek jest między nimi !“ Gdyby Jaurès odpowiedział był słówko, czem prędzej by go skazano na więzienie i utratę praw obywatelskich, a więc pozbawiono mandatu. Był to ostatni, rozpaczliwy manewr w tym celu. — Prefekt zaś skierował wszystkie swe wysiłki na to, aby podstępem, namową lub groźbą skłonić hutników do powrotu do pracy. Przybył do Carmaux, otoczony żandarmeryą, założył główną kwaterę u Rességuiera i rozpoczął swe manewry. Jeden robotnik ma siostrę nauczycielką elementarną . prefekt obiecuje jej protekcyę, jeśli brat wróci do huty. Drugiemu obiecują pod tym samym warunkiem, że uwolnią jego krewną, sądzoną za jakieś przestępstwo. Trzeciemu grożą, że zarząd Południowej dr. żel. (nie-rządowej !) da dymisyę jego dwóm krewnym, którzy są tam urzędnikami. Czwartemu, który został wezwany do wojska, jako rezerwista, obiecują skrócenie służby, jeśli podpisze umowę. Kasyer departamentalny osobiście przychodzi do żony jednego z hutników, obiecując jej odpuszczenie jakiejś kary pieniężnej. jeśli mąż wróci do pracy. Gdy udało się w ten sposób zniеprawić dwóch czy trzech robotników, żona innego hutnika, Hauserowa, powiedziała do jednego z nich : „Uboga jestem ; ale jeśliś zdradził z głodu, to byłabym ci raczej połowę swego oddała.“ Szpiegi donoszą o tem Cordelowi ; kobietę

---

*) Prezes ministrów, min. spr. wewn. i min. sprawiedliwości.

aresztują i sądzą — za krępowanie „wolności pracy“! Bo jest taki artykuł w kodeksie francuskim, który odnosi się do gróźb lub gwałtów ze strony strejkujących nad pracującymi, a rozszerzany być może i bywa do wszelkich kroków w celu odwiedzenia kogoś od pracy.

Ale miejscowi robotnicy trzymają się dzielnie. Wtedy Rességuier posyła w cztery strony kraju ajentów w celu werbowania hutników. Tu objawia się w pełni solidarność kapitalistyczna: wszyscy właściciele hut, bez względu na konkurencyę, nawet ten, który procesował się był z Rességuierem o owo podrabianie sprzedanego jemu wynalazku, pomagają werbownikom w ten sposób, że wyrażają swym robotnikom chęć, aby pojechali do Carmaux. Wskutek panującego kryzysu szklanego, część robotników była bez pracy. Na dobitek, werbownicy i policya opowiadali wszędzie, że strejk skończony, że znaczna ilość miejscowych hutników wróciła do pracy, że produkcya się rozszerza i trzeba ich więcej. Związek syndykatów hutniczych przeciwdziałał: w lokalach wywieszono afisze, przeczące tym fałszom. Baudot i inni pojechali w różne okolice z odczytami i mowami o strejku. Wtedy, nagle, władza wojskowa wezwała Baudota na ćwiczenia rezerwowe i wypuściła dopiero po kilku dniach, usprawiedliwiając się omyłką!

Tymi sposobami z biedą uzbierano po całej Francyi kilkudziesięciu robotników i przywieziono do Carmaux. Jak ich wieziono! Konserwatywny „Nouvelliste de Lyon“ wyraźnie pisał, że do kilkunastu hutników, wiezionych do Carmaux, usiłowali zbliżyć się robotnicy, wysłani przez komitet strejkowy, aby porozmawiać, lecz *na szczęście* policya czuwała i nie dopuściła do tego! Chyba nie większą sobie przyznawał władzę plantator południowo-amerykański nad swymi murzynami! Zmieniano wszędzie dowolnie rozkład pociągów, byle nie czekać na stacyach, żandarmerya czuwała nad każdym hutnikiem, nie wypuszczano raz zwerbowanych nawet do bufetu, byle nie spotkali kogoś, co by ich oświecił; w Carmaux wprost z dworca pod konwojem prowadzono do huty, gdzie dawano — mieszkania i wódkę. W końcu, z wielkim tryumfem postanowiono zapalić pierwszy piec. Gubernator Doux w zupełnem umundurowaniu własnoręcznie włożył do niego zapaloną pochodnię, aby najdokładniej pokazać, że rząd jest z Rességuierem! Zarazem urzędownie zatelegrafował do merów całego departamentu, zawiadamiając ich o rozpoczęciu robót, zupełnie jak o zdobyciu nieprzyjacielskiej fortecy!

Ale roboty nie bardzo szły. Kto ze zwerbowanych zostawał w hucie, — a było między nimi sporo zupełnie niefachowych, sprowadzonych poprostu na figurantów, — czuł, że jest fabrykantowi potrzebny, do pracy się nie spieszył, lecz pił, hulał, kłócił się i nieraz bił — pewny bezkarności — ze strejkującymi. Niejeden jednak, rozejrzawszy się w sytuacyi, poznawał, że bezczelnie nadużyto jego zaufania, wymykał się i chciał powracać w swoje strony. Kilku takich udało się do komitetu z prośbą o zasiłek na podróż; udzielono im po 80 fr.; cóż naturalniejszego? Na drugi dzień — policya wpada do mieszkań kasyera komitetu i jego pomocnika, zabiera pieniądze (na szczęście, część tylko, reszta była dobrze schowana!), aresztuje i prowadzi w kajdanach mil kilka do więzienia — pod zarzutem sprzeniewierzenia tych pieniędzy, gdyż jakoby ofiarodawcy nie na ten cel je przeznaczali, lecz na utrzymanie hutników bez pracy na miejscu! Nadużycie to wywołało jednak takie oburzenie, że po dwóch dniach kasyerów musiano wypuścić i oddać im pieniądze.

Fundusze te jednak dyablo stały kością w gardle Rességuiera i Doux. Jak je zabrać? Skonfiskować poprostu niepodobna; zawszeć to nie Rosya, choć ktoś dowcipny wyraził się w ostatnich czasach: *„J'entends l'hymne russe : nous sommes en France!“* (Słyszę hymn rosyjski: a, to Francya!) Więc wymyślono podstęp następujący: Doux ustawił w szereg renegatów, udających, że pracują w hucie, i pod strażą żandarmów posłał ich do komitetu strejkowego, z żądaniem, aby i im też wypłacano część zapomóg, bo i oni są „ofiarami strejku“. Naturalnie, kazano im się wynosić, przypominając, że składki idą na poparcie oporu, a nie na jego osłabienie. Wtedy renegaci, a raczej Doux za nich, wnieśli skargę do sądu w Albi: sąd przyznał im racyę i położył areszt na funduszach! Tylko, że znów się dobitnie okazało, że i pod tym względem to nie Rosya, i że rzeczpospolita ma swą wartość dla proletaryatu: fundusze złożono w dobre miejsce, a redakcye pism ogłosiły, aby ci ofiarodawcy, co, dając, chcieli wesprzeć i pracujących w hucie, zaznaczyli to wyraźnie. Rozumie się, nikt się taki nie znalazł Tymczasem zbliżała się chwila powrotu deputowanych z wakacyi, rozpoczęcia posiedzeń parlamentu; wiedziano, że posłowie socyalistyczni zażądają od rządu wytłomaczenia się z popełnionych nadużyć. Rząd i Rességuier czuli, że jeśli będą mogli powiedzieć izbie: „strejk jest skończony“, to sprawa zostanie tem łatwiej zatarta, jako należąca do przeszłości. Trzeba było podwoić teror, a do tego najlepszy nasunął się środek: urządzenie zamachu anarchistycznego. Pisma anarchistyczne: *La Sociale*, *Temps Nouveaux*, od samego początku wymyślały Jaurèsowi i innym deputowanym, obecnym kolejno w Carmaux, że doradzają hutnikom spokój; policya potrafiła skorzystać z tego. W połowie października, na parę dni przed otwarciem parlamentu, telegram rozniósł po całym świecie wieść, że do Rességuiera strzelono! Wprawdzie Rességuier nie odniósł najmniejszej rany, prócz lekkiego rozdarcia palta; wprawdzie, oprócz żandarmów, nikt wystrzału nie słyszał, ani nie widział zbrodniarza, choć miało to być nad wieczorem, gdy było widno jeszcze, i na głównej ulicy. Aresztowano na drugi dzień niejakiego Guilhema, robotnika który czytywał anarchistyczne pisma, i ogłoszono go za winowajcę. Później jednak, po zmianie ministeryum, musiano go wypuścić dla zupełnego braku dowodów. Ale pretekst do stanu oblężenia był: sprowadzono w tej chwili nowe oddziały żandarmów, puszczono konne patrole w pełnym galopie po ulicach, zaczęto robić dowolne rewizye i odgrażać się ludności. Pod pozorem, że zabójca (!) jakoby schronił się do hotelu, w którym mieszkał Jaurès, Gérault-Richard, Toussaint i paru innych deputowanych, hotel otoczono, przetrząśnięto, najnieprawniej w świecie poddano deputowanych osobistej rewizyi i pozabierano im osobiste papiery i protokoły posiedzeń komitetu strejkowego, które oddano do ogłoszenia pismom, będącym na żołdzie Rességuiera, jak *Télegramme* tuluski. To ostatnie piśmidło oskarżyło wyraźnie Jaurèsa o wspólnictwo zamachu, a zarazem ogłosiło podsłuchane jakoby słowa jakiegoś chłopa z okolic Carmaux, który miał w rynku powiedzieć: — Kiedyż nareszcie ktoś utłucze na śmierć tego przeklętego Jaurèsa? Gdyby pismo socyalistyczne napisało coś podobnego, autor i redaktor byliby z pewnością skazani na ciężkie roboty za podjudzanie do zbrodni. Jednem słowem, uczyniono wszystko, aby wyprowadzić ludność z cierpliwości i sprawić nowe Fourmies, którego odpowiedzialność zwalonoby potem na głowy agitatorów socyalistycznych. Ale ludność nie dała się sprowokować, i ta ostatnia próba rządowa spełzła na niczem. — Musiano nareszcie otworzyć parlament. Gabinet Ribota popełnił w ciągu wakacyjnych miesięcy tyle nadużyć, że czekało go dwadzieścia kilka interpelacyi: przykład, jak nawet francuski parlamentaryzm jest niewy-

starczający, jaką daje słabą możność kontroli nad rządem nie już ludowi, ale nawet jego 560 u przedstawicielom. Na najpierwszem miejscu postawiono interpelacyę co do Carmaux; poświęcono na nią trzy pamiętne dni: 24, 25 i 26 października, podczas których cała Francya z natężeniem oczekiwała rozwiązania sprawy. Jaures mówił w ciągu dwóch posiedzeń po kilka godzin; przedstawił wszystkie warunki zatargu, wszystkie nadużycia Rességuiera i rządowych władz, napiętnował Ribota, Leygues'a, Trarieux'go, ministra robót publicznych Dupuy-Dutemps'a, który jeszcze przed trzema laty był czerwonym radykałem, — napiętnował ich rozpalonem żelazem swej wymowy. Millerand ze ścisłością prawnika wykazał, po czyjej stronie słuszność. Mowy ich w tysiącach egzemplarzy zostały rozchwytane. Na zakończenie, żądali oni, aby izba poleciła swemu prezesowi Brissonowi, radykaliście, dokonanie sądu polubownego między hutnikami i Rességuierem. Gdyby izba przychyliła się do tego życzenia, Rességuier musiałby się poddać, bo uczułby, że ma przedstawicieli kraju i opinii przeciw sobie.

Ale napróżno rzucano, w całem znaczeniu tych wyrazów, perły przed świnie. Minister spraw wewn. Leygues odpowiedział szeregiem kłamstw i prowokacyi, Ribot również; Brisson, chcąc sobie zaskarbić łaski oportunistów, odmówił przyjęcia czynności sędziego; i izba większością 270 głosów przeciw 237 potwierdziła postępowanie rządu i przeszła nad kwestyą do porządku dziennego, pozostawiając hutników własnemu losowi. — Wieczorem tegoż dnia Rességuier, który w loży był obecny na rozprawach, na znak zadowolenia zaprosił Leygues'a i kilkunastu przewódców większości, złożonej z oportunistów i prawicy, na wspaniały obiad! Musieli chyba ci panowie mieć na tym obiedzie uczucia, przypominające ludożerców...

Wprawdzie gabinet Ribota nie przeżył długo swego podłego postępku. Oburzenie przeciw niemu, pogarda dlań były tak powszechne, że stracił on całą powagę w oczach izby, która poczuła, że lepiej pozbyć się tak skompromitowanych i niepopularnych przewodników. Na trzeci dzień po interpelacyi o Carmaux gabinet Ribota upadł, i to upadł — w błoto, bo na skutek interpelacyi socyalisty Rouaneta w sprawie szachrajstw i przekupstw przy budowie kolei Południowej. Rząd odmawiał przeprowadzenia gruntownego śledztwa, a izba go zażądała — i rząd musiał ustąpić. Wbrew nadziejom oportunistów, którzy wzdychali do „silnej ręki" Waldecka lub Dupuy'a, prezydent rzeczypospolitej mianował gabinet radykalny z Leonem Bourgeois na czele. Większość jego członków głosowała za urządzeniem sądu rozjemczego w sprawie hutników, przeciw nadużyciom rządu; objąwszy władzę, musieli się też w tej sprawie inaczej zachować, niż Ribot. Na rozkaz Bourgeois, który objął tekę spraw wewnętrznych, zaprzestano prowokacyi i aresztów w Carmaux; nieco później, — aby tryumf socyalistów, którzy swemu wpływowi mogą przypisać uformowanie gabinetu radykalnego, nie był zbyt widoczny, — wypuszczono, jak wspomniałem, Guilhema (pisma reakcyjne się wściekały!) i translokowano prefekta Doux do mniejszego departamentu, na znak niełaski. Natychmiast zaś po objęciu rządów, Bourgeois wysłał swego urzędnika do Carmaux ze specyalnem poleceniem, aby skłonił Rességuiera do poddania się sądowi polubownemu. Rességuier odmówił. W odpowiedzi na to, Bourgeois nie ośmielił się wprawdzie, jak się domagali socyaliści, wycofać wojska z całej okolicy, zostawiając fabrykanta sam na sam z robotnikami; ale natychmiast upoważnił rady miejskie Paryża, Marsylii i wielu innych miast do przesłania zasiłków hutnikom w Carmaux, uważając ich nie już za strejkujących, lecz poprostu za pozbawionych pracy. Zasiłki te zostały już dawno uchwalone, w sumie 10.000 fr. w Paryżu, tyleż w Marsylii etc., ale ponieważ rady miejskie zostają pod ścisłą kontrolą ministeryum spr. wewn., Leygues zabronił wykonania uchwał.

Bądź co bądź jednak, nadziei złamania uporu Rességuiera nie było żadnej. Wola połowy społeczeństwa wraz z rządem nie wystarczyła do złamania *jednego* kapitalisty, który, posiadając środki produkcyi, postanowił sobie głodem zniszczyć godność człowieczą najemnika. Ustąpić, wydać mu na pastwę kilkudziesięciu najdzielniejszych, dać przykład demoralizujący — o tem nikt nie myślał. Trzeba było znaleść wyjście z dylematu. Mogła niem być tylko huta współdzielcza.

Na wniosek Jaurèsa postanowiono założyć w Carmaux, naprzeciwko niemal Rességuierowskiej, hutę robotniczą, w której znalężliby stałą pracę: najpierw wszyscy hutnicy, których Ress. z powrotem nie przyjmie, a prócz tego wszyscy wogóle hutnicy we Francyi, którzy wydaleni zostaną z fabryk za swe przekonania, za należenie do syndykatu, za agitacyę. Ponieważ jednak przewidywano zgóry, że fabrykanci rozwiną przeciw tej hucie zawziętą walkę, więc z jednej strony, trzeba było zdobyć kapitał zakładowy znaczny, z drugiej — zapewnić stały zbyt butelek wyrabianych, aby robotnicy mieli pewny zarobek. I tu stało się zjawisko dziwne i radosne: żywioły, o których spropagowanie socyalizm się nie troszczył prawie wcale, które nieraz ogłaszał za reakcyjne (i słusznie, co do formy, w jakiej dotychczas występowały), samodzielnie, dobrowolnie stanęły na pomoc, przyznając się do socyalistycznego braterstwa. Stanęli na pomoc ci, którym kiedyś spadło ze stołu socyalistycznej teoryi parę zaledwie okruchów i którzy zadawalniali się nimi, czyniąc z nich cały — odmienny od socyalizmu — swój pokarm duchowy. Socyalizm, jak czyniący jałmużnę z przypowieści, znalazł przed sobą, co — rzucił za sobą.

Oto, w jaki sposób: w r. 1848 młoda dziewczyna, córka półkownika z wojen napoleońskich, usłyszała na jakimś placu przemowę idealisty Barbèsa i porwana nią, zaczęła czytać, pochłonęła Fouriera, przejęła się marzeniami o idealnym ustroju społecznym. Życie trzymało ja zdala od walk w imię tego ideału, dało jej wielki majątek — i samotną starość. Zajmowała się jedynie zakładami dobroczynnymi; właśnie zamierzała dać 100.000 fr. na nowe jakieś schronisko. Rochefort znał ją z dawnych czasów i opowiedział jej historyę hutników i plan Jaurèsa. Staruszka bez wahania oddała 100.000 fr. na hutę współdzielczą; sam wyraz „współdzielcza" (*Verrerie aux verriers)* zawierał w jej oczach cząstkę wymarzonego ideału! Przypadek tylko wykrył jej nazwisko, które upamiętnić warto: pani Dembourg. Ofiarę przyjęto z zapałem i fundusz zakładowy, a przynajmniej jego część główną, miano w rękach.

Co do zbytu butelek, wystąpił żywioł inny, do którego jeszcze bardziej stosuje się to, cośmy wyżej powiedzieli: stowarzyszenia spożywcze i niektóre wytwórcze. Wiadomo jaki był stosunek socyalistów do nich, gdy wystawiano je, jako środek rozwiązania kwestyi społecznej, usunięcia zatargu najemnika z najmującym; socyalizm odrzucił je stanowczo i uznał za szkodliwe, gdyż odciągały robotnika od walki politycznej Dziś, kapitalizm posunął się o tyle naprzód, że współdzielcy sami po większej części utracili wiarę w możność przekształcenia społecznego na tej drodze, a przytem walka na wielką skalę, wszechstronna, podjęta przez socyalizm, oraz wzrastający wpływ syndykatów, stowarzyszeń ekonomicznych, wydających się pokrewnemi, w tej walce, przyciągnęła doń wszystkich ideologów, zarówno jak praktyków. Dość, że

stowarzyszenia współdzielcze wystąpiły, można powiedzieć, jak jeden mąż: zaczęły przysyłać znaczne sumy ze swych złożonych kapitałów na założenie huty, a co jeszcze ważniejsza, zapewniły jej zbyt butelek. Zjazd stow. spożywczych, zebrany w Paryżu, postanowił nie kupować napojów inaczej, niż w butelkach z firmą „Huty robotniczej w Carmaux“, i postawić to za warunek swym dostawcom; po złożeniu deklaracyi przez każde stowarzyszenie, okazało się, że stanowią one rynek zupełnie wystarczający, że więc nowa huta ma byt całkiem zapewniony. — Dodać należy, że gdyby rządy były w rękach nie radykalistów, a wsteczników, to z pewnością potrafili by oni wynaleść jakiś paragraf, zabraniający stow. współdzielczym datków pieniężnych dla hutników; Bourgeois natomiast zapewnił Jaurèsa, że nic im nie stoi na przeszkodzie.

Pozostała tedy kwestya organizacyi. Była chwila ostrej niezgody na tym punkcie. Partya allemanistów oraz wielka liczba przedstawicieli syndykatów robotniczych oświadczyli, że nie należy wskrzeszać potępionej kooperacyi; że z punktu widzenia rewolucyjnego niema racyi, aby hutnicy z Carmaux, jako samodzielni właściciele huty, odnosili wyjątkowe korzyści w stosunku do całego proletaryatu; że huta, jako dzieło całego solidarnego proletaryatu, powinna przynosić zyski jego sprawie, powinna mieć wielkie znaczenie polityczne. Właściwie wszyscy podzielali ten pogląd; gdy jednak wybory, zarządzone od komitetu z 40 osób, mającego zorganizować hutę a złożonego z przedstawicieli stow. współdzielczych, syndykatów i grup politycznych, dały większość allemanistom (sekretarzem komitetu został sekretarz syndykatu kolejarzy, Guèrard), zapanowało niezadowolenie w partyi guesdystów, i między niektórymi innymi socyalistami lub skrajnymi radykałami. Rochefort szczególniej, przyzwyczajony do osobistego prowadzenia i nie znający organizacyjnych obyczajów, a mający do allemanistów dawną urazę za ostrą walkę, jaką mu byli wypowiedzieli podczas bulanżyzmu, wplótł tu nutę niesympatyczną, oświadczając publicznie w *Intransigeant*, że otrzymał 100.000 fr. na zwykłą hutę współdzielczą, i że na nic innego ich nie odda. Już w pismach burżuazyjnych panowała z tego powodu wielka radość; ale guesdyści, znający obowiązki dyscypliny socyalistycznej, nie dali się unieść. Zdano się na uchwałę samych hutników w Carmaux; a ponieważ ci, zarówno zresztą, jak Jaurès, przyjęli plan komitetu, więc i Rochefort ustąpił, i guesdyści z całą stanowczością poparli sprawę.

Huta tedy *Robotnicza* (Verrèrie ouvrière) powstaje na następujących podstawach: Jest to stowarzyszenie akcyjne, bo tylko w tej formie pozwala na nie kodeks handlowy; główna część akcyi przyznana będzie hutnikom w Carmaux wzamian za owe 100.000 fr. i za datki, nadchodzące jeszcze na ten cel z całej Francyi; druga część — rozprzedana syndykatom, stowarzyszeniom spożywczym etc. Przedsiębiorstwem ma zarządzać komitet z 9 osób, z których 6 hutników z Carmaux; reszta wybierana przez akcyonaryuszy. Hutnicy otrzymywać będą płacę, równą największej z wypłacanych w hutach fabrykantów; zysk — znów prawo nakazuje dzielić w formie dywidendy, lecz wszyscy nabywcy akcyi podpisują oświadczenie, że jej się raz na zawsze zrzekają. Zysk tedy cały co rok obracany będzie na propagandę i agitacyę socyalistyczną w sposób, jaki uchwali doroczny kongres syndykatów i stow. współdzielczych.

Gdy uzyskano pewność, że „Huta robotnicza“ powstanie, gdy w Paryżu założono już jej kantor od przyjmowania zamówień, dopiero wtedy, po czteromiesięcznej walce, hutnicy w Carmaux przyszli do huty Rességuier'a. Fabrykant zaspokoił swą zemstę, już bezsilną: nie przyjął z pół setki, w tej liczbie wszystkich członków zarządu syndykatu, i komitetu strejkowego.

W tej formie, jako oręż przedewszystkiem polityczny, spodziewają się socyaliści francuscy, że huta w Carmaux przyniesie plon obfity, że będzie miała znaczenie, podobne do *Vooruit'u* Anseelego, choć mniejsze, zarówno ze względu na rozmiary, jak na przedmiot produkcyi, mniej potrzebny do codziennego i powszechnego użytku, niż chleb. — Cokolwiek zajdzie, czytelnicy nasi o dalszym tej huty rewolucyjnej rozwoju wiedzieć będą. Na zakończenie zaś, niech mi oni, zarówno jak Redakcya wybaczą, żem im zajął taką moc czasu i miejsca. Zdawało mi się, że historya strejku w Carmaux na szczegółowe i wszechstronne zasługuje przedstawienie, bo jest ona prawdziwym i wysoce charakterystycznym szmatem życia społecznego we Francyi wogóle, a życia francuskiego stronnictwa socyalistycznego w szczególności. Zastanowić się nad wszystkiemi tego zatargu fazami warto też i po to, aby go porównać ze strejkami, szczególniej politycznymi, w innych krajach, w innych warunkach politycznych, a przedewszystkiem z naszymi, ze strejkiem np. w Białymstoku.

M. Luśnia.

Z KRAJU I O KRAJU

Z „**Kuryerka**“ „**Robotnika**“, Zarząd kolei Dąbrowieckiej zdecydował się przyjąć wszystkie, żądane przez robotników warsztatowych w Radomiu, zmiany w książeczkach z wyjątkiem punktów, dotyczących płacy.

Dąbrowiecki Komitet Robotniczy wydał na 1 grudnia odezwę wraz z „Listem otwartym do polskiego ludu roboczego“, napisanym przez ks. Ściegiennego. Zadaniem tej odezwy było przeciwdziałać szkodliwym naukom księży dzisiejszych, którzy szczególnie w dzień św. Barbary lubią pouczać górników o uległości i pokorze względem ich wyzyskiwaczy.

Dnia 27 listopada z cytadeli wypuszczono na wolność 17 robotników. Na siedzących lada dzień mają nadejść wyroki.

Aresztowany przez żandarmów na wsi w powiecie szawelskim Antoni Zelcer w drodze do Kowna zbiegł ze stacyi w Koszedarach. Wiozące go dwa fiołki z rozpaczy poprzewracali sągi drzewa opałowego na stacyi, poszukując zbiega, lecz napróżno!

W Kreście petersburskim odsiadują obecnie wyroki następujący polacy: Kostrzębski Julian, Iwanowski Leon, Oszmaniec Jan, Bendyk Aleksander, Malicki Jan — robotnicy: Okulicz, Niepokojczycki, Kiliański Maksymilian, Abramowicz Maryan — studenci; Trzciński Stanisław, telegrafista; Dąbrowski Wacław, buchalter z Łodzi; Falkenberg Bolesław i Berezowski Ignacy.

(„*Robotnik*“).

Ostrzeżenie. Do wiadomości wszystkich podaje „*Robotnik*“ następujące nazwiska sprawdzonych przez partyę — *zdrajców*:

Leopold Dobraczyński — szewc.

Golarczyk — sam zawiózł żandarmów na miejsce, gdzie zakopał drukarnię.

Gralikowski — pończosznik z Żyrardowa,

Marya Kizińska — żona robotnika, oskarżonego o zamach na pałac Kunitzera w Łodzi.

W ostatnich dniach listopada został wypuszczony z cytadeli *Żebrowski*, szewc. Prawdopodobnie będzie się on starał nawiązywać stosunki, przeto ostrzegamy

wszystkich przed nim, gdyż jest on na utrzymaniu u żandarmów.

Również należy się wystrzegać *zdrajcy Feliksa Przybyłowskiego* (tkacz z Żyrardowa).

Uważamy za potrzebne jeszcze raz przypomnieć, że *Benzef*, stolarz, zwany Wagnerem, jest szpiclem.

Wreszcie najusilniej ostrzegamy wszystkich przed niebezpiecznym zdrajcą i szpiegiem *Bolesławem Bilskim*. Zdemaskowany przez partyę, uważał on za potrzebne uciec do Ameryki. Gdy jednak i do New-Yorku przyszła wiadomość o jego zdradzie, a Komitet Wykonawczy Z. P. O. S. P. R. w Ameryce zawezwał go przed siebie, Bilski nie stawił się. Zdołał natomiast wyłudzić u łatwowiernych trochę pieniędzy i 24 grudnia wyjechał na parowcu wiozącym bydło, — *Bovie*, idącym do Liverpoolu. Będzie on więc usiłował rozpocząć swoją robotę szpiclowską napowrót w Europie.

Warszawa, styczeń. Jeszcze krew Palińskiego nie zaschła, jeszcze rany poparzonego Śliwickiego nie zagoiły się, a nowe gwałty żandarmów wstrząsnęły do głębi całą Warszawą. D. 2 stycznia 96 r. rozeszła się wiadomość, że Henryk Hryniewiecki, student 4-go kursu instytutu agronomicznego w Puławach zagłodził się w cytadeli. Aresztowany 27 listopada 95 r. w Puławach, odwieziony do cytadeli, po 2 tygodniach zaczął objawiać silne zdenerwowanie, które wkrótce przeszło w obłęd. Chorobie jego z początku nie dawano wiary, a dla przekonania się włóczono go po lazaretach więziennych gdzie umarł 27 grudnia 95 r. nie biorąc nic do ust, jak sami żandarmi oświadczyli, przez 6 dni ostatnich. Bezczelność żandarmów w postępowaniu z więźniem i jego rodziną przechodzi wszelkie pojęcie. Odmówiono widzeń i dopiero po jego śmierci przysłano ojcu nieboszczyka pozwolenie na widzenie się z synem; pozwolenie to przyszło już wtedy, gdy ojciec w przeddzień otrzymał telegraficzne zawiadomienie o śmierci H. Mało im pastwić się nad więźniem, jeszcze się znęcają nad rodzicami. Na pogrzebie H. było kilka osób z bliższej rodziny i do 20 szpiclów i żandarmów. Pochowano go na miejscu, przeznaczonem dla samobójców.

Jednocześnie z tą wiadomością rozeszła się druga o ohydnym gwałcie carskich siepaczy, dokonanym na 14-letnim uczniu gimnazyum kieleckiego, Szajbo. Mogąc go aresztować w Kielcach za znalezione przy nim wiersze, żandarmi pomimo to pozwolili mu pojechać na wieś do rodziców, i tam zjawili się za nim w wigilię Bożego Narodzenia. Zrobili to, prawdopodobnie rozmyślnie, by steroryzować nieszczęśliwych rodziców i malca, a tą drogą prędzej wydobyć od niego zeznania, skąd ma wiersze. Ponieważ to im się nie udało, więc odstawili go do kieleckiego więzienia; a że więzień milczał uparcie, uciekli się do tradycyjnego sposobu wydobywania dobrowolnych zeznań. „Jewo tam siekut rozgami" oświadczył jeden z grona szanownych pedagogów (dyrektor kieleckiego gimnazyum) w formie napomnienia i ostrzeżenia swoich uczniów od wszelkiego rodzaju wierszy. Nic więc dziwnego, że uczeń zaczął robić „dobrowolne, niczem nie wymuszone" zeznania, byleby się oswobodzić od chłosty. Tą drogą starają się dostać do prawdy rosyjskiej.

Aresztowani: Świerzawski w Lublinie, Gałecki, Szabłowski, Mitkiewicz w Warszawie, studenci z Puław: Trenkner w Warszawie, student z Dorpatu.

Gubernator warszawski Andrejew, pod wpływem orderu św. Anny otrzymanego za to, iż dostał po buzi od naczelnika powiatu, z Pułtuska, Bołguczewa, tatara, — wpadł na pomysł kurowania ludzkości od przestępstw, popełnianych z nędzy. W tym celu wydał okólnik następującej treści: „Z uwagi na ustanie wielu zarobków w porze zimowej, a stąd pojawiające się przestępstwa wśród masy ludności bezrolnej, polecam naczelnikom powiatów przedsiębrać środki, mające na celu bezpieczeństwo publiczne, a więc: dyżury stróżów nocnych po wsiach, *dokonywanie* o ile można częstej *rewizyi* przez straż ziemską w różnego rodzaju *kryjówkach i miejscowościach* oraz wogóle rozciągnięcie *wzmocnionego dozoru* nad osobami *wątpliwej konduity*. Nadto dwa razy na miesiąc każdego 13-go i 25 go naczelnicy powiatów są obowiązani składać p. gubernatorowi szczegółowe raporty o przedsięwziętych przez straż ziemską rewizyach łącznie z zaznaczeniem rezultatów tych rewizyi". W okólniku tym wyraźnie przebija, że gubernatorowi chodzi nie tyle o zabezpieczenie mieszkańców od złodziei, ile o śledzenie wszelkich „niebłagonadieżnych" mieszkańców wsi, o stłumienie przeciwrządowej agitacyi wśród chłopów, — właściwiej o wyłapanie chłopskich agitatorów.

Czy zabezpiecza ludność od złodziei fachowych ten okólnik? Wiadomo, że przy rozwiniętem, doprowadzonem do systemu łapownictwie, cała straż ziemska zna się i kuma ze złodziejami, a więc wszelkie rewizye będą skierowane nie w te miejsca, gdzie są złodzieje i ich kryjówki. Wszak gdy łapano koniokradów w kieleckiej gubernii, okazało się, że jeden wachmistrz znał wszystkich złodziei i przez 7 lat służby uzbierał do 8.000 rubli, chyba nie z pensyi 12-to rublowej. Inny, wachmistrz wybudował stajnię obok swego mieszkania i w niej przechowywał skradzione konie, dopóki nie ochłodła gorączka poszukiwania; stąd dopiero skradziony inwentarz transportowano dalej. Ciosy więc dosięgną nie fachowych złodziei, lecz tych tylko, co z nędzy odważą się kraść, na co i sam okólnik wskazuje. Wreszcie w okólniku wyraźnie jest wskazane, żeby szczególniej zaopiekowano się ludźmi wątpliwej konduity, a dla ruskiego czynownika, któż ma więcej wątpliwą konduitę, jeżeli nie ludzie „niebłagonadieżni"?

Carscy siepacze posuwają się do tego, by własne dzieci denuncyowały swych rodziców. W 1-ej klasie realnego gimnazyum nauczyciel rosyjskiego języka daje malcom jako wypracowanie w klasie: „napiszcie tytuły książek, jakie wasi rodzice mają w bibliotekach". Gdy malcy napisali, że ich rodzice książek żadnych nie mają, spotkało ich wymyślanie, że są buntowszczykami, łotrami itp.

W tym roku na jesieni oficer objaśniał landwerzystom (ci, co wojsko odsłużyli i co 5 lat są wzywani na 3-4 tygodnie), że żołnierz może nie zabijać człowieka, choćby władza kazała, jeżeli jest przekonany, że przez zabicie tego człowieka przyniosłby szkodę carowi; ale zato każdy powinien zabić socyalistę, bo to ludzie, którzy tylko chcą carów zabijać; za zabicie takiego człowieka nic mu nie będzie, przeciwnie będzie nagrodzonym.

Nowy gwałt żandarmów! 27 grudnia w cytadeli umarł Henryk Hryniewiecki — **śmiercią nienaturalną!** Ciało wydano ojcu dopiero 2 stycznia. Poszlaki na to, że umarł on śmiercią nienaturalną są następujące: 1) Był to człowiek wzrostu okazałego i dobrze rowinięty fizycznie, w trumnie zaś wyglądał strasznie **wychudnięty i cały jakby powykrzywiany cierpieniem.** 2) Na tydzień przed jego śmiercią była w cytadeli matka jednego z uwięzionych, prosząc o widzenie z synem. Borodiejewskij, obecny zawiadowca X pawilonu, rzucał się przy niej, krzycząc: „ja ich prouczu! Oni mnie tut gołodat' budut" itp. Stąd w zestawieniu z wyglądem trupa — powszechnie wysnuwane jest przypuszczenie, że Hryniewiecki się zagłodził. 3) Krąży wreszcie wersya, że Hryniewiecki dostał pomieszania zmysłów, a żandarmi — zamiast oddać go do Tworek (zakład dla obłąkanych) — trzymali go w lazarecie X pawilonu i obchodzili się z nim jak zwykle, aż go wpędzili do grobu....

Że śmierć towarzysza Hryniewieckiego nie była sprowadzona zwykłą tylko powolną katuszą więzienną, tego

najlepiej dowodzi ociąganie się żandarmów z ujawnieniem tej wiadomości : już po śmierci Hryniewieckiego przychodził jego ojciec na widzenie, żandarmi odmówili, ale nic mu nie powiedzieli o śmierci syna — widocznie dla zatarcia jakichś śladów. W każdym razie do długiej, a w ostatnich czasach szybko rosnącej listy okrucieństw żandarmskich przybywa nowa krwawa karta...

Wskutek ukrywania przez żandarmów śmierci Hryniewieckiego o pogrzebie nikt nic nie wiedział. Za trumną szło tylko kilka jakichś kobiet. Nie mogliśmy uczcić pamięci zmarłego towarzysza, ale potrafimy ją pomścić !

Strejk. Wskutek obniżenia płacy (o 25 %) w fabrykach trykotaży Albana Auricha i J. Baja w Łodzi przed kilku tygodniami wybuchł strejk. Po trzech tygodniach trwania przed samemi świętami zakończył się on zupełnem zwycięstwem strejkujących.

Wyroki. Daniel Śliwicki po roku siedzenia w X pawilonie dostał jako karę 2 miesiące więzienia na Pawiaku. Wyrok ten dowodzi, że nawet w oczach żandarmów „wina“ Śliwickiego była zupełnie nieznaczna, żadna prawie. A jednak jego właśnie żandarmi swem okrutnem postępowaniem doprowadzili do tego, że się usiłował w celi podpalić (p. N° 9 „Przedświtu“) !

Faterson i Goldberg, aresztowani w czerwcu 1893 r. „na wiankach“ i trzymani dotychczas (przez 2 ½ roku !) pod śledztwem w więzieniu, otrzymali wyroki : obydwaj — na pięć lat zesłania do Wschodniej Syberyi. Podobno są już wyroki i na innych z tej sprawy, ale nie wszystkim dotąd je przeczytano. Sprawy aresztowanych w końcu sierpnia 1894 r. do dziś są jeszcze w Petersburgu w departamencie policyi.

Z tajemnic grobów dla żyjących. — W *Szlyselburgu* rozstrzelani w 1890 r. — *Myszkin* i *Minokow*, spalił się — *Graczewskij*. Umarł — *Arończyk*. Siedzą chorzy na suchoty : Jerzy *Bogdanowicz* i *Buciński* oraz obłąkani : *Szczedrin* (mania wielkości) i *Konaszewicz* (idyotyzm). Niewiadomo, co się dzieje z *Frolenko* i *Michałem Popowem*. Siedzą, ale są zdrowi : *Malawski*, *Surowcew*, *Wiera Figner*, *Wolkenstein*, *Orżik*, *Iwanow* oraz (polacy) : *Kobylański* i *Janowicz*. Wkrótce będą wypuszczeni, tj. wywiezieni na Sybir : *Martynow* (był skazany na 20 lat) — w listopadzie 1896 r. i *Manuczarow* — w styczniu 1896 r. *Łagowski* przesiedział 10 lat i został wysłany do Karakoł (w Syberyi).

Zaznaczamy pogłoskę, że *Łopatin* i *L. Waryński* żyją. O tym ostatnim towarzyszu naszym krążą najrozmaitsze wersye, podług jednych nawet widziano go już na Sachalinie. O Łopatinie chodziła wieść, że spoliczkował zawiadowcę Szlysselburga i został zato rozstrzelany.

Centrałki. — Nie każdemu zapewne wiadomo, że w czasach przepełnienia X Pawilonu aresztowani są przenoszeni do innych więzień Cytadeli warszawskiej. Do 1894 r. nadmiar więźniów umieszczano w IX Pawilonie na odwachu w celach oficerskich, które o wiele są przyjemniejsze od cel X Pawilonu. Teraz przenoszą aresztowanych do więzienia dla szeregowców, zwanego „centralnym karcerem“. Jest to budynek, stojący zupełnie oddzielnie w dziedzińcu IX Pawilonu. Zewnątrz robi on wrażenie stajni, a małe okienka wyglądają, jak otwory piwniczne. Wewnątrz jest parter i 1 piętro z balkonami, numerów jest 40. Żołnierzy sadzają tam na krótki tylko termin, najwyżej na 5 dni, bo dłużej pomimo żelaznego zdrowia nie wytrzymaliby ; lecz więźnie polityczni trzymani są tu miesiącami. Cele w tej „centrałce“ są malutkie, 5 kroków długości a 2 ½ szerokości, tak że, chcąc używać jakiegoś ruchu, trzeba się kręcić w miejscu. Spać trzeba na pryczy, na którą rzucony jest brudny siennik bez prześcieradeł, poduszka jest ze słomy, a kawał sukna zastępuje okrycie. Ani stołu ani stołka w celi niema, tak że rozbierając się trzeba rzucać rzeczy na kamienną podłogę. Do mycia się prowadzą na korytarz, gdzie stoi wspólna balia, nad nią zaś wanna z wodą. Wycierać się trzeba jednym wspólnym ręcznikiem, zmienianym co *trzy tygodnie*. Obiady przynosi służący z X pawilonu : zupę w kuble, a jarzynę w miednicy, i rozlewa je na miejscu do naczyń. W celach, zajętych przez uwięzionych żołnierzy, są w drzwiach otwory, przez które im podają jedzenie, i które odświeżają powietrze w celi ; ale w celach więźniów politycznych otwory te odmykają się tylko w czasie widzeń, odbywanych na miejscu. *Spacerów w centrałce wcale niema.*

To są „reformy“ więzienne nowego panowania !

* * *

Lwów, w grudniu 1895 r.

Nareszcie, nareszcie ! namiestnik Galicyi, p. Kazimierz Badeni, przeniósł się do Wiednia, jako minister prezydent. Dwojaka z tego korzyść. Naprzód Galicya pozbyła się bezpośredniego ciemięzcy wszystkiego tego, co tchnie samodzielnością, a powtóre w Wiedniu p. Badeni prędzej, niż się zeuropeizować potrafi, na szerszych wodach polityki państwowej — utonie. Amen.

Jeszcze jeden punkt zadzierzgnięcia polityki krajowej o Wiedeń przybywa wskutek tego, iż samodzierżca z podporządkowanego ministrowi spraw wewnętrznych stał się sam ministrem. Ale jego nahajka karbowego i „tak chcę, tak być musi“ dosięga nas zdala, zatem nie tak dotkliwie. Przeciwdziała zaś temu ta okoliczność znowu, że ks. Sanguszko, z marszałka namiestnik, z pierwszego urzędnika autonomicznego, c. k. sługa i subaltern p. Badeniego, jest niczem więcej jak figurą, z Wiednia za sznurek pociąganą. Zarządzenia więc dzisiejszego namiestnika nie spotkają żadnego oporu w najwyższej instancyi, droga rekursu od samowoli namiestnikowskiej do ministerstwa jest bezużyteczną. Często inaczej się działo dawniej, gdy rząd krajowy nie był jednorodny z rządem centralnym.

Powołanie p. Badeniego do steru rządów wewnętrznych, p. Gołuchowskiego na wspólnego ministra (Austro-Węgier) spraw zewnętrznych jest szczytem polityki partyi stańczyków, na tem się zasadzającej, aby bezpośrednio zniszczyć wpływ rosyjski w Wiedniu, a pośrednio i na wschodzie. Ta sama walka przeciw moskwicyzmowi usposabia także p. Badeniego do przeprowadzenia ugody z Węgrami, od r. 1866 nie odnawianej, ugody o wspólnych wydatkach, dotkliwie i nieproporcyonalnie dziś obciążających Austryę. Ugoda ma być odnowiona w r. 1896. Jest to jedna z najważniejszych misyi rządu p. Badeniego, to też wszystkie mu wrogie czynniki szowinistyczno-narodowe chcą w tym punkcie nogę mu podstawić. I tak antysemici wiedeńscy o czarno-żółtej krwi wymyślają od złodziei madziarom, ludowcy galicyjscy namiętnie stawiają kwestyę Morskiego Oka i sprawę taryf kolejowych, niższych w Węgrzech, które ułatwiają zbyt towarów węgierskich na galicyjskich rynkach.

Ale prawdziwym oślim mostem dla p. Badeniego jest sprawa reformy wyborczej w Austryi. Jeśli co, to reforma wyborcza kroplisty pot wyciska na czoło tego polityka — arendarza. Wprawiony w Galicyi rządzić z kijem karbowego i takimi elementami, jakie tu miał pod ręką, drży na samą myśl, że już dwa rządy w Austryi przez ośli ten most nie przeszły i skończyć musiały — z kawalerska jak rząd Taaffego, a haniebnie, w błocie koalicyi, jak — Windischgraetza.

Sprawa wschodnia, za którą nie bezpośrednio, lecz w wysokim stopniu odpowiedzialnym będzie p. Badeni, jest trzecią zagadką do rozwiązania dla tego

męża, czy stanu, to dopiero rozwiązanie zagadek okaże. P. Badeniego znamy w Galicyi, jako doskonałego zaokrąglacza swych dóbr na koszt państwa i chłopów; jako doskonałego cichego wspólnika w macherstwach banków galicyjskich z pomocą pp. Marchwickich i innych; znamy go, jako biurokratę, kontrolującego o godzinie 9 rano wszystkie biura w namiestnictwie, czy urzędnicy przy robocie; znamy go jako wydającego tajne nakazy, aby nie dopuszczać do zgromadzeń ludowych i soc. demokratycznych, oraz tajne okólniki, nakazujące kradzież pism dla ludu; znamy go, jako przedsiębiorcę na wystawie, handlarza placami pod budowę i cichego przedsiębiorcę budowlanego; znamy go jako gracza giełdowego trochę nieszczęśliwego (coś około pół miliona stracił w ostatnim krachu) — ale czy on jest graczem w prawdziwej polityce i to austryackiej polityce — tu go poznamy dopiero.

Tymczasowe ministerstwo kilkumiesięczne Kilmansega stworzone było na to, aby pozostawić p. Badeniemu możność zoryentowania się w stosunkach austryackich, zabezpieczenia sobie odwrotu do Galicyi i — „przeprowadzenia“ wyborów w Galicyi. Echa tych wyborów obiegły świat cały, gdzie tylko ludzie coś na tem się rozumieją, i wywołały oburzenie. Naiwni ludzie. Trzeba, żeby się na kilka miesięcy do Galicyi przenieśli, a rychło by im się ta wrażliwość stępiła. Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichter's Lande gehen. Wtedy się zrozumie, dlaczego p. Badeni przy „przeprowadzaniu“ wyborów takich używał środków, na jakieśmy się patrzyli tutaj. Kolba żandarmska, w razie potrzeby szwadron dragonów, pięć florenów w łapę i kawał kiełbasy do pyska wyborcy, szturchańce od komisarzy starostwa i fałszowanie przez nich listy głosujących i rezultatu głosowania — to wszystko dla tych, co chcą „iść obok szlachty polskiej, a nie pod nią“, broń boże, zaś nie przeciw niej. Stronnictwo chłopskie, zwane ludowem, do spółki z Towarzystwem demokratycznem polskiem bało się wystąpień takiego radykalnego krzykały, jakim jest ks. Stojałowski. Oba te stronnictwa z dumą przyznały, że chcą one tylko rozszerzenia lub wykonania programu szlacheckiego — bynajmniej zaś nie opozycyi przeciw szlachcie. Naturalna dla p. Badeniego, że takich przeciwników wyrzuca się za drzwi, jeśli natarczywi, lub każe się wyrzucić ich przez żandarma, jeśli są nieznośni. To też, środki, użyte przez rząd przy wyborach, mogą być miarą odporności, odwagi i godności cywilnej stronnictwa ludowego. To też, jakkolwiek my, soc. demokraci, ze wstrętem patrzyliśmy na podobne praktyki rządu Badeniego wobec warstw chłopskich, — przecież myśl cisnęła się gwałtownie: dla takich skromnisiów, dla ludzi, u których pańskie dzikie świnie w chłopskich kartoflach są osią zdobyczy wolnościowych, — dla takich ludzi p. Badeni nie potrzebował, a może i nie umiał wytężać się na wyższy kalkul intrygi wyborczej, — jak się gdzieindziej dzieje. Przyznać wprawdzie trzeba, że pierwszy to raz lud wiejski samodzielnie zerwał się do wyborów, że powtórnie znalazłszy się przy urnie wyborczej, zmądrzeje, a wtedy zmądrzeć i wydelikatnić się muszą i cesarscy naganiacze do kurnika autonomicznego.

Szczególną cechą zasług tych cesarskich starostów, najczynniejszych przy wyborach jest to, iż pan taki o tyle żarliwszy był przy robieniu wyborów, o ile w jego karyerze urzędniczej lub stosunkach prywatnych więcej było brudów. W deszczówce i okowicie prał więc swoje brudy, aby na łaskę p. Badeniego sobie zasłużyć i stać się milszym, a dawne łajdactwa zmazać łajdactwami i gwałceniem praw obywatelskich przy wyborach do sejmu w październiku 1895 r. P. Junosza Gałecki, starosta w Żydaczowie, ciekawe rzeczy o sobie potrafiłby nam opowiedzieć, a i inni panowie starostowie i komisarze z powiatów zachodnich Galicyi również.

Wybory skończyły się zwycięstwem 13-tu chłopów — na 156 posłów szlacheckich i miejsko-szlacheckich, zupełnem wyrzuceniem z sejmu posłów moskwofilskich, telegramami i wiecami protestującymi w polskich powiatach, biadaniem i wędrówką do cesarza — z rusińskich powiatów. Na masowy protest wiecowy we Lwowie nie zezwolił c. k. namiestnik, p. Sanguszko, dlatego rusini urządzili sobie taki wiec w Wiedniu, o 100 mil dalej od Lwowa, i zapewnili cesarza po drodze o swoich trwałych wiernopoddańczych uczuciach, jak zawsze. Staruszek Franciszek Józef Habsburg był rozczulony takim objawem poddaństwa przez trzy minuty, lecz zganił chłopom wyrzucenie pieniędzy na kolej (co to za szlachetny akcyonaryusz kolei północnej!), zgniewany był również, że rusini zamiast pokłonić się kapeluszowi kardynalskiemu gr kat. arcybiskupa Sembratowicza, kapeluszowi, który staruszka przecież nie bagatelę, bo 15 tysięcy kosztował — oni, nie znający się na purpurze, w drodze się minęli z Sembratowiczem. On do Lwowa, oni do Wiednia w 250 deputatów do tronu. Jeśli przyjęcie przez p. Badeniego w Wiedniu i „pana cisara“ jeszcze teraz nie wyleczy z wiary „w biały domek najjaśniejszego pana“ rusinów, to — bodaj zdrowi byli. Rusini w memoryale prosili o rozwiązanie sejmu, nielegalnie wybranego, cesarz przyrzekł zbadać nadużycia przez p. Badeniego; nastręcza się więc znowu z racyi wyborów dalsza robota dla p. Badeniego, jako ministra spraw wewnętrznych. Czy p. Badeni w ogon się ukąsi, — zobaczymy. Nowa sześcioletnia sesya sejmu galicyjskiego rozpoczyna się 28 grudnia r. b. i robotnicy w Galicyi nie zapomną przywitać tych panów odpowiednio.

Ukardynalenie arcyb. Sembratowicza jest w związku z polityką krakowskiego stronnictwa które by rade do rzymskiej stajni wszystkie zapędzić owieczki i sądzi, że kardynalskim czerwonym kapeluszem nakryje wszystkich galicyjskich rusinów. Niestety, purpura arcybiskupa nie może budzić zachwytu u rusinów, bo huculi tej samej barwy portki noszą, kolor więc dość spowszedniały. Chęć wzmocnienia rzymskiej idei daje się również we znaki i samym łacinnikom. Klerykalny minister wyznań i oświaty i wsteczny rząd bronią majestatu nietylko rzymskiego, ale i wioskowego, parochialnego z taką zaciekłością, jak sędziowie niemieccy majestatu Hohenzollernów. Obydwa muszą być doskonale śmierdzącemi jajami, kiedy najlżejsze potrącenie o zgubę mogłoby je przyprawić i na nieprzyjemności publiczność narazić. Procesy prasowe o obrazę księży, o obrazę religii sypią się jak z rogu obfitości i niedawno w Krakowie np. zasądzono na 6 miesięcy więzienia redaktora „Naprzodu“ za obrazę księdza. W bezbożnym Lwowie przysięgli uniewinniają takich zbrodniarzy, mimo wysiłków prokuratora.

Można śmiało twierdzić, że sądzą u nas pod znakiem krzyża z czasów inkwizycyi. Gromy sprowadza na się każde pismo z krytyką księży, zwłaszcza jeśli pismo takie ma przeznaczenie dla ludu wiejskiego. Jest to najwyższy dowcip rządów p. Badeniego do spółki z Gautschem i viceprezesem galic. komisyi edukac., p. Bobrzyńskim, — rządzić z pomocą księży. W tem ma leżeć nietylko zbawienie dusz, ale i zbawienie polityki stańczyków. Stąd wściekłość na ks. Stojałowskiego, na „Przyjaciela ludu“ i na potwora ks. Ściegiennego, którego biskupi galicyjscy obiecali wydobyć z grobu i degradować z księdza na cywila za jego list znakomity. List ów stał się w październiku i listopadzie przyczyną wielu rewizyi i aresztów na prowincyi i jak dawniej, ścigano go i po miastach.

Lżej zato u nas z procesami i konfiskatami o po-

budzanie do nienawiści przeciw rządowi. Minister sprawiedliwości p. Gleispach, odezwał się w komisyi budżetowej wcale nie po austryacku i chwilowo, — mówię chwilowo — położył kres samowoli prokuratorskiej, która nie dopuszczała ostrzejszej krytyki ani rządu ani wyższego urzędnika. Dzisiejsze postępowanie z naszemi pismami naprowadzałoby na domysł, że żyjemy pod rządem konstytucyjnym, gdyby — niestety — gdyby nie wolność zabierania naszych pism i szczególna opieka nad księżmi. Jedyne szczęście, że przestępstwa prasowe i mowy na zgromadzeniach, rzekomo karygodne za szerzenie nienawiści do pojedyńczych klas ludności tudzież za zohydzanie rządu, należą do sądów przysięgłych. A przysięgłych nie wszędzie, jak w Krakowie może sobie pan prokurator cesarski dobrać w lubym komplecie przeciw socyalnym demokratom. We Lwowie np. do rozpaczy przysięgli doprowadzili tutejszy trybunał karny, i prokurator powiedział „basta“, a radcy sądowi odrzekli się opieki nad socyalistami, miotając groźbę, że proces ostatni przeciw tow. Woźniakowi i Żelaszkiewiczowi będzie ostatnim procesem prasowym. Jakkolwiek ubywa nam jeden środek agitacyi na sali sądowej przed trybunałem przysięgłych, przecież ani łzy za nim nie uronimy i gdzie indziej sobie wynagrodzimy tę stratę.

Tym ostatnim (czy tylko ?) procesem prasowym zajęli się „ludowcy“ z wielką trąbą „Kuryerem lwowskim“ dlatego, że obwinieni wywlekli na rozprawie wiele nadużyć księży, czego nie śmieli uczynić, choć im się serce do tego rwało, „ludowcy“ z. p. Wysłouchem. Ciekawe bo sobie to stronnictwo ludowe z wielką trąbą nieoficyalną, „Kur. L.“, i małą trąbką urzędową, „Przyjac. Ludu“. Zerwały się kumy z „Kur. Lw.“, i dalejże wymyślać soc. dem. od gnuśnych ludzi, prześlepiających sposobny moment natarcia na p. Badeniego o reformę wyborczą dla mas. Kto by tych rycerzy wolnościowych nie znał, to by ich kupił. Ba, posądzali oni nawet naszych wiedeńskich towarzyszy, o konszachty z p. Badenim, tak jak by to już p. Badeni do tyla był plugawem stworzeniem, że jedno zetknięcie się z nim mogłoby trądu nabawić. Skąd ta nagła miłość polskich demokratów i ludowców do powszechnego głosowania, od którego się odżegnywali wobec chłopów i mieszczan ? Oto stąd. Czerwoni patryoci galicyjscy, kumy z „Kur. Lwow.“, małomieszczańskiego pisma, i kum Lueger, niezatwierdzony przez rząd p. Badeniego burmistrz miasta Wiednia, nie cierpią p. Badeniego. P. Lueger, — dla objaśnienia dodajemy, — jest austryakiem, habsburszczykiem czystej krwi. W lewej ręce płynie u niego czarna, w prawej żółta krew, i odpowiednią tualetę nosi. Kumowie ci poprzysięgli śmierć p. Badeniemu, i to nagłą śmierć. Ale oni koszerny mają wstręt dla min. prezydenta, mówią więc : my go przytrzymamy, a wy, socyaliści, rznijcie jak wieprza tę bestyę apokaliptyczną. I my byśmy radzi widzieć p. Badeniego np. księciem udzielnym u Hottentotów, ale ciągnąć w pole przeciw niemu wtedy, gdy on jeszcze silnie się trzyma w siodle dzięki oczekiwaniom, jakie budzą jego rządy,... nie, wtedy nie pójdziemy pomagać Luegerowi, którego dusi mania wielkości, ani dusić p. Badeniego gwoli polsko-galicyjskich demokratów — choćby nas na świętość pow. głosowania zaklinali, którego oni ani nie chcą, ani weń nie wierzą. Za powszechnem głosowaniem stworzymy wtedy kampanię, gdy za właściwe uznamy i czem nas p. Badeni rozbroi albo my jego, podobnie jak jego poprzedników, — to okaże luty 1896 r.

Co do powszechnego głosowania, to p. Badeni z namaszczeniem powiada : mam gotowy projekt ref. wyborczej, nawet wydrukowany za pazuchą. Zaprezentuję go w lutym izbie poselskiej, lecz nie zmuszajcie mnie teraz do okazania tego projektu, ażeby się nad nim nie znęcano. Per corpo di dio, — mówi sign. Badeni, — którego tyrolczycy włosi chcą jako swego wziąć w arendę, — nie zmuszajcie mnie. Musi to być ciekawa rzecz ten projekt za pazuchą arendarza — polityka, kiedy się boi światła dziennego, jak nietoperz. Wtajemniczeni mówią to i owo o tym projekcie Badeniego. My chcemy być dyskretni i zaczekamy z ciekawością do lutego. Ale mamy pewne uprzedzenia do b. Wielkiego Karbowego Galicyi, któremu stańczyki na lasce karbiki powycinali i wedle tych karbików rządzić każą, choć p. Badeni strasznie się tego wypiera, jakoby sobą rządzić dozwalał.

Ale rządzą nim i przerządzą może nim, jak często zdarza się taki przypadek graczowi, nazbyt ufnemu w swój dowcip i spryt. I tak wiedeński tygodnik, „Neue Revue“, opowiada historyjki o kreciej robocie pod p. Badenim, który staje w zapasy z całym rodem Potockich — od siebie dodam — rodem, który ma podwójnych poddanych carskich i cesarskich, rodem silniejszym majątkowo od p. Badeniego. A wpływ Potockich i w Austryi i w Rosyi może niespodzianki zgotować p. Badeniemu, który chce wyplenić moskwofilizm i z rusińskiego i z młodoczeskiego obozu, kokietując z tym ostatnim na umór. P. Badeni jest zdecydowanym moskwofobem. Ażeby być dobrze informowanym o stosunkach rosyjskich, zabrał nawet z sobą ze Lwowa urzędników administracyjnych, znających dobrze i stosunki i język rosyjski. Ta strona uczuć p. Badeniego byłaby dla nas nawet sympatyczną, gdybyśmy w niej nie widzieli walki o byt między jednogatunkowcami : autokratyzmem moskiewskim i autokratą b. W. Karbowym Galicyi.

Ten autokratyzm ministra prezydenta, jego stąd płynące zaślepienie i nienawiść do wszystkiego, co samodzielne, krytycznie się do dzisiejszych stosunków odnoszące, — odbiera mu możność utrzymania się na fali rządów w Austryi, która już nie jest przecie Austryą z przed r. 1848. Jego sława herostratowa gna i jego samego i jego partyę szlachecką na zagubę. Gdy szlachcie zabrali i indemnizacyę za grunty — nie swoje, i sprzedali „świętą karczmę“ (ostatni ratunek przed lichwą i ratami banku), niedługo zaczną sprzedawać już i grunty swoje. I przyjdzie czas, że pójdą prosić, aby odkupiono od nich ten ciężar, ale wówczas zorganizowane masy ludowe nie papiery indemnizacyjne im dadzą — lecz *ekwiwalent*, za to, czego dziś od szlachciców doznają.

P. Badeni, zbyt niepewny swego popasu nad modrym Dunajem, zabezpieczył sobie szańce przedmostowe : niedołęgą p. Sanguszką w namiestnictwie, któremu może kazać lada chwila skakać przez kij, i swym bratem p. Stanisławem, marszałkiem krajowym, w wydziale krajowym. A niechby już i wracał; milszy on nam tutaj, niż urządzający obiady dworskie w Wiedniu, na których łowi sobie posłów i podlewa opozycyę, jak nielubiane kwiatki, — aby uschły. A silną ma opozycyę : urodzonych opozycyonistów, młodoczechów, część koła polskiego (cichą ale skuteczną i antysemitów, pogniewanych zato, że ich bożka, Luegera, na strych, wśród rupiecie wyniósł — nie mówiąc o opozycyi ludowców, socyalistów i niemców narodowców wrogich polskiej gospodarce galicyjskiego plantatora.

Zarząd główny wiedeński partyi soc. demokratycznej postanowił zwołać na święta wielkanocne kongres państwowy, na którym postanowią delegaci w Bernie, jak wobec dzisiejszego rządu, a szczególnie nowego projektu reformy wyborczej się zachować.

Komitet agitacyjny krakowski zwołuje na święta bożego narodzenia konferencyę zachodnio-galicyjską, a Komitet lwowski na 5 i 6 stycznia 1896 konferencyę wschodnio-galicyjską.

Jest nadzieja, że konferencya krakowska więcej się zajmie agitacyą wśród chłopów, do czego na zjeździe galicyjskim prezydyum mało czasu pozostawiło. W zachodniej części kraju łatwiejszy jest przystęp pism naszych do chłopów polskich i łatwiejszych tu i owdzie zwolenników socyalizmu wśród chłopów mamy.

Konferencya wschodniej części kraju głównie zastanowić się będzie musiała, w jaki sposób najlepiej wyzyskać można zdobyte dla naszej partyi zarządy w kasach chorych czterech większych miast : Krakowa, Przemyśla, Stanisławowa i Kołomyi. Jest to broń, wydarta pp. starostom i ich pupilom; należałoby ją zwrócić skutecznie przeciw burżuazyi i na korzyść naszej partyi. Władze administracyjne w ten sposób ratować jeszcze chcą stracone reduty, że zarządów tych kas, z łona partyi wybranych, nie chcą zatwierdzać i tak przedłużają w kasach gospodarkę austryacką, wywołującą oburzenie i u robotników i u pracodawców. Ale to do czasu tylko, wytrwałość zorganizowanych robotników zrobi swoje i wszędzie prawie, gdzie organizacye nasze sięgają, tam kasy chorych dostają się jedna po drugiej do rąk socyalistów.

Na wzór naszej organizacyi, opartej na mężach zaufania, zbudowali obecnie i ludowcy swoją „organizacyę“, czy ją tylko ze skutkiem utrzymać zdołają ?

Pocieszającym również jest objawem, że organizacya polskich górników na Szląsku austr. i Morawie przybrała stałą formę i pozostaje pod bezpośrednim wpływem organizacyi krakowskiej, z pomocą delegata, jednego z jej członków, wędrującego z jednej miejscowości do drugiej.

Dla organizacyi lwowskiej naglącą sprawą są kopalnie nafty w Borysławiu. Ale tu nie podobna w braku większych środków pieniężnych zadzierzgnąć stałych stosunków, a dorywcze działanie (bez krzty przesady) w tem istnem piekle ziemskiem niemożliwe i bez skutku. Naglona uchwałą zjazdu N. Sandeckiego stoi lwowska organizacya, bezsilna wobec problematu borysławskiego, a osobiste chęci są niczem wobec braku środków!

Dom robotniczy we Lwowie oddaje takie usługi, jakich się partya po otwarciu jego we wrześniu spodziewała. Jedna tu wada tylko : jest na dzisiaj za mały i w miarę rozwoju stowarzyszeń zawodowych wolnych niedługo rozszerzyć go trzeba będzie. Jest on też solą w oku pewnych panów, którzy, przechodząc przez pasaż, odwróciwszy oczy, ze zgrozą palcem pokazują na murze napisy wszystkich stowarzyszeń, które w nim siedzibę mają.

Stare, katolickie stowarzyszenie robotnicze we Lwowie, a raczej Katolickiej czeladzi stowarzyszenie, mogące się utrzymać z datków i subwencyi nabożnych panów, wyrzuciło 33 członków za śpiewanie „Czerwonego Sztandaru“ w murach świętobliwej „Skały“ (tak się wabi stowarzyszenie). W powodach wykluczenia powołują się na świadectwo boskie, że sumiennie wyrok ferowali i pomocy bożej do jego wykonania wzywają, „tak nam panie boże dopomóż. Amen“ kończą — i słusznie, bo żaden rozsądny człowiek nie pomógłby im i nie pochwalił ich. Nawet austryacka policya nie ściga już dzisiaj tego śpiewu i śpiewających. Naiwny wydział z dumą powiada : „choćbyśmy wszystkich członków wyrzucili, stowarzyszenie jeszcze istnieć będzie, bo ma około 3.000 fl. datków i własną realność“. To rozumiem, takie stowarzyszenie, co członków nie potrzebuje, a ma pieniądze, — i nie jest to unikat w Galicyi. Wszystkie jezuicko-„czeladnicze“ stowarzyszenia w ten sposób się utrzymują. Nawet wkładki za członków zwyczajnych płacą członkowie nadzwyczajni. Dadzą zwyczajnemu członkowi na rękę, gdy się żeni, gdy mu się dziecko urodzi, dadzą w biedzie — naturalnie członków potrzebujących wsparcia zawsze znajdą. Wykluczeni ze „Skały“ członkowie odwołali się do walnego zgromadzenia, cóż, kiedy seniorowie i seniorzyce nawet wyżsi, niż walne zgromadzenie ?

W Tarnowie organizacya socyalistyczna grozi udarem krwistym nowemu Gamratowi tarnowskiemu, p. Łobosowi, z zawodu biskupowi. W głowę ludzie zachodzą, jak można się było porwać na założenie organizacyi socyalno-demokratycznej w drugiem galicyjskiem mieście jezuickiem — w świętym Tarnowie, siedzibie p. Łobosa, starosty osławionego (z zakazów zgromadzeń) p. Płazińskiego i p. Sanguszki ? A przecież po jezuickim Krakowie i Tarnów musiał pójść na gałąź.

Bratni nasz organ, „Robotnik“ warszawski, budzi u naszych towarzyszy podziw i uznanie; po wędrówce tych nielicznych egzemplarzy, które się do nas dostają, wracają one zwykle nieczytelne do właściciela. Spodziewam się, nie mniej się nim zachwycają i ciekawią fiołki warszawskie, pod których opieką tow. warszawscy drukują i wydają...

Po macoszemu obeszła się policya krakowska z naszym kalendarzem robotniczym : wyjęła mu część wnętrzności. I to podstępnie. Ustawa nakazuje dzieło (powyżej 6-ciu arkuszy) oddawać drukarzowi w ciągu 8 dni do archiwów, gdzie nieprzychylny los spotkać może takie dzieło. Cenzura istnieje li dla pism peryodycznych, ulotnych i broszur. Policya krakowska wyławia jeszcze nie zeszyte arkusze — jako broszury ? pisma ulotne ? których by nie mogła cenzurować, zeszytych w dzieło. To są fiołki!....

ik.

* * *

Ostatnie wiadomości

(Podług № 13 Robotnika i naszego korespondenta)

Ostrzeżenie. — Podajemy niżej za „Robotnikiem“ nowy szereg szpiclów i denuncyantów :

W Radomiu u T. Karsza majstrowi Goździkowskiemu podczas jego nieobecności w kantorze otworzono list od syna z zagranicy. Dopuścił się tego Szelbicki, kantorzysta. Na skargę Goździkowskiego Karsz odpowiedział, iż to on kazał Szelbickiemu list otworzyć i sam za to będzie odpowiadał! W warsztatach kolejowych wykryto jeszcze jednego szpicla-ochotnika. Jest nim Jan Kozłowski, malarz. Przed paru laty, pokłóciwszy sie z mularzem Kicińskim z Krakowa, denuncyował go przed żandarmami, jako socyalistę.

W Lublinie wystrzegać się należy Jana Kokos; prawosławny, pracuje w „kazionnej pałacie“, po polsku mówi doskonale. Był on długi czas w fortecy Iwangrodzkiej na usługach żandarmów. Za jakieś fałszerstwo siedział w więzieniu. Sprytny i przebiegły, łatwo zawiera znajomości. Za żandarmskiego agenta uważany jest również niejaki Śliwiński, także kryminalista, brunet średniego wzrostu.

W Rydze należy się wystrzegać Franciszka Gerdwajnisia, stróża domu pod Nr. 2 Bastei-bulwaru, i Jana Missiunasa.

W Warszawie na liście donosicieli fabrycznych należy zanotować Olędzkiego z fabryki Knauffa i Grabe od Niemyskiego. Ostrzegamy również przed Zeringerem, grajkiem w restauracyi „Kaźmierówka“ na Krakowskiem Przedmieściu (mieszka na Chłodnej pod numerem 28). Rok temu zasypał on kilka osób, w tej liczbie Jedlińskiego, który zwaryował w cytadeli.

Areszty. — W noc z 2-go lutego na 3-ci rozpoczęła się w Warszawie „rzeź niewiniątek“. Wzięto z górą 100 osób z najrozmaitszych sfer : studentów, robotników, urzędników kolei, banków, są nawet uczniowie gimnazyum. W cytadeli zabrakło miejsca, zaczęto wypełniać Pawiak. Brano na prawo, na lewo, każdego kto wchodził do bramy podejrzanej. W wielu

miejscach urządzono pułapki, co też oddało w łapy żandarmskie sporo osób. Przy takim sposobie brania ludzi wpada najwięcej Bogu ducha winnych. Nie ograniczono się jednak na Warszawie. 5 lutego do Radomia zjechało 24 żandarmów z Warszawy, podobno z jakimś jenerałem na czele (prawdopodobnie Białonowskim). Wprost z dworca wraz z miejscowymi „fiołkami“, rozdzieliwszy się na 3 oddziały, puścili się na rewizye, które trwały od 11 w nocy aż do rana, — ale u nikogo nic nie znaleziono i nikogo nie aresztowano. Rewizye robiono głównie u robotników z warsztatów kolejowych i w wioskach podmiejskich : na Zamłyniu, w Weronowie, Dzieszkowie itp. Po rewizyach fiołki urządzili sobie ucztę, na której wypowiedzieli zdanie : „zdieś narod jeszczo głupyj !“ i wynieśli się.

Prawie jednocześnie były areszty i rewizye : w Dąbrowie i w Łodzi (a może i gdzieindziej). W Dąbrowie aresztowano 2 robotników i 1 sztygara. W Łodzi — jedną czy 2 osoby.

Sąd wojenny, który 5-go lutego miał się odbyć nad 9 oskarżonymi o zamach na pałac Kunitzera, odłożono do 4 marca. Żandarmi widocznie nie mają czasu.....

Wyroki ze sprawy wianków. — Grodecki, szewc, (siedział 16 miesięcy na śledztwie) — 3 lata Archangielskiej gub. Maciejewski (siedział 12 miesięcy) — 2 lata Archangielskiej gub. Piętaszewski, lakiernik, i Bogacki, szewc, (siedzieli po 8 miesięcy) — po 2 lata osiedlenia w Rosyi z wyborem miejsca. Jakubowski (siedział 10 miesięcy), Zaremba (4 mies.) i Czarnecki (3 m.) dostali 1 rok nadzoru policyjnego. Zaremba i Jakubowski marnie spisywali się na śledztwie.

Z innych spraw : tow. Rosół, aresztowany w grudniu 93 r., — 3 lata Archangielskiej gub. Musielski — 3 lata Rosyi z wyborem miejsca.

Z „Kuryerka“ „Robotnika“. — U Szlenkiera (fabryka firanek w Warszawie), zastrejkowało 28 weberów, gdy fabrykant postanowił nie płacić im za czas stania maszyn z przyczyn od nich niezależnych. Strejkujący domagali się przytem wydalenia grubiańskiego majstra. Fabrykant cofnął swe postanowienia, z wydalonych 7 robotników przyjął 2 nazad.

W Rzucowie, Pawłowie i Chlewiskach w zakładach metalurgicznych robotnicy (1.000) porzucili pracę, nie chcąc przyjąć książeczek obrachunkowych ; po 6 tygodniach strejk zakończył się zwycięstwem robotników.

Stefan Helwig

dzielny nasz towarzysz z zaboru pruskiego, po długich i ciężkich cierpieniach zakończył swój żywot dnia 8-go stycznia, skończywszy zaledwie lat 32.

Zarówno towarzysze berlińscy, będący od wielu lat świadkami ciągłej i niezmordowanej działalności Helwiga, jak i my, którzy znamy go od czasu, gdy został socyalistą, możemy ocenić, jakie korzyści zmarły oddawał polskiemu ruchowi robotniczemu pod zaborem pruskim. Już w r. 1886, będąc pisarzem gospodarskim we wsi pod Pobiedziskami, H. probował agitować między włościanami. Udawało mu się to wcale nieźle, pomimo całej grozy panujących wówczas praw wyjątkowych i pilnej baczności właściciela majątku, który, będąc patronem kółek włościańskich, uważał za swe przeznaczenie życiowe żandarmowanie na i duszyczkami swych podwładnych. Mieszkanie H. służyło wtenczas zarówno za skład broszur zakazanych, jak i za miejsce przytułku dla niejednego, prześladowanego przez szpiclów policyjnych i orędownikowych, agitatora.

Ale minęły prawa wyjątkowe ; szersza, legalna robota stała się możliwą. Wtedy H. przenosi się do Berlina, uczy stolarki i jako robotnik staje do szeregu z tymi wszystkimi, którzy pchnęli ruch polsko-socyalistyczny w Prusach na nowe tory. Posiadając wykształcenie wyższe od tego, jakie przeciętny proletaryusz może sobie zdobyć, znając przytem doskonale języki zarówno polski, jak i niemiecki, H. był bardzo poważną siłą dla partyi. Ale właściwe pole dla jego działalności otworzyło się podczas wyborów w r. 1893.

Szło wtenczas o to, by zaagitować miejscowości, w których nigdy poprzednio o socyalizmie nie słyszano. Robota to była nielada, gdyż wiedziano, że ma się do czynienia z wrogami, którzy nie cofną się przed niczem, nawet przed gwałtem fizycznym, byle uchronić „ludek“ od zarazy socyalistycznej. Ale jeszcze niebezpieczniejszym przeciwnikiem była ciemnota i nieufność samych włościan. Jedno niezręczne słówko mogło na długie lata uniemożliwić dostęp socyalizmowi do danej miejscowości.

Helwig doskonale wywiązał się ze swego zadania. Jego spokojny, a zarazem jasny i zwięzły sposób opowiadania przekonał niejednego, który dawniej rozumiał pod socyalizmem teoryę mordowania i grabienia ludzi. Znany nam jest jeden taki wypadek : H. zjawił się we wsi, w której mieszkała pewna staruszka, jego krewna. Zaledwo się u niej rozsiadł i zaczął rozpytywać o stosunki miejscowe, a już pode drzwi chałupy przyleciał fornal dworski z 6 specyalnie dla tego celu najętymi zuchami i zaczął ryczyć, że socyalistów wszystkich trzeba jak psy pozabijać ! Będąc sam we wsi, wśród sfanatyzowanego tłumu, H. mógł łatwo życiem przypłacić swe apostolstwo. Ale niebezpieczeństwo podnieciło go tylko do walki. Wyszedł natychmiast na dwór i zaczął swym zwykłym sposobem wykładać owym siedmiu, czem właściwie socyalizm jest. I nie upłynęło kwadransa, a już fornal ujrzał się osamotniony, a sprowadzeni przezeń chłopi rozpoczęli przyjacielską pogawędkę z Helwigiem. Widząc, że traci grunt pod nogami, wciągnął on ich prędko do karczmy i obstalował 6 piw, by choć w ten sposób rozognić trochę ich animusz patryotyczny. Ale H. i tu ich nie opuścił i gdy nazajutrz wychodził ze wsi, mieszkańcy prosili go, by częściej się u nich zjawiał. Takich wypadków więcej się zdarzyło.

Dodać należy, że suma, którą H. wziął na utrzymanie podczas swej 3-tygodniowej wędrówki (będąc proletaryuszem, nie mógł utrzymywać się z własnych pieniędzy), była tak śmiesznie mała, że pojąć trudno, jak on potrafił z niej wyżyć.

Wkrótce po wyborach pokazały się u H. pierwsze objawy groźnej choroby, która tylu proletaryuszy sprzątnęła już z pola walki, — suchot. Czas jakiś borykał się jeszcze z cierpieniem, ale w końcu ono wzięło górę.

Zgasły był niezmordowanym współdziałaczem tak w polskim jak i niemieckim ruchu robotniczym, a swoją świetną wymową i zręcznem piórem pozyskał sobie serca wszystkich, którzy go słyszeli i znali. Organizacye polsko-socyalistyczne straciły w zmarłym niepowetowanego szermierza; niemieckie związki zawodowe najgorliwszego krzewiciela. Od półtora roku blisko będąc złożony na łożu choroby, ani na chwilę nie poprzestawał służyć proletaryatowi, bądź listownie bądź przez usta tych, którzy go w chorobie odwiedzali, dawał dobre rady i zachęcał do żywej i wytrwałej agitacyi.

Aleksander Bursztyn

zacny i energiczny towarzysz, członek byłego „Proletaryatu“, zmarł we wrześniu b. r. w Tyflisie na wygnaniu. Aresztowany 24 marca 1892 roku wskutek donosu szpiega-prowokatora Wyszomirskiego przesiedział półtora roku na śledztwie w X pawilonie. Zupełnie zrujnowany na zdrowiu i z początkami suchot w listopadzie zeszłego roku dostał wyrok na półtora roku więzienia i 3 lata zesłania do Rosyi z wyborem miejsca. Po trzech miesiącach trzymania w Kreście petersburskim dogorywającego już wywieziono do Tyflisu, gdzie zakończył swój męczeński żywot.

Stanisław Zerynger

towarzysz, wypuszczony niedawno z więzienia na Pawiaku, umarł d. 21 grudnia. Uroczysty pogrzeb odbył się 24 grudnia rano. Trumnę od domu aż do cmentarza nieśli na barkach swych robotnicy. Zdobiły ją wianki z czerwonemi wstęgami. Szczegóły pogrzebu i nekrolog przedwcześnie zgasłego towarzysza podajemy według Nº 13 „Robotnika“ :

„W dniu 21 grudnia zmarł śmiercią męczeńską towarzysz nasz Stanisław Cerynger. Śmierć nastąpiła z powodu wycieńczenia sił w murach cytadeli i Pawiaka oraz wskutek zaniedbanej przez lekarzy więziennych choroby gardłanej, z której wywiązały się suchoty.

„Krótka działalność na polu walki nie pozwoliła zmarłemu stać się głośnym agitatorem idei socyalistycznej, ale zato był on cichym pracownikiem, który z całym zapałem i poświęceniem oddawał się sprawie, dla której żył.

„Jeszcze będąc dzieckiem, zmarły towarzysz musiał ciężko pracować na czarny kawałek chleba, a potem będąc robotnikiem w fabryce grzebieni, widział namacalnie całą niesprawiedliwość teraźniejszego ustroju społecznego. Zetknąwszy się z towarzyszami z partyi, przejął się gorąco ideą socyalistyczną i odtąd z zapałem krzewił ją wśród kolegów i znajomych.

„Dnia 22 grudnia 1894 r. na zasadzie denuncyacyi szpicla Wiśniewskiego został aresztowany i osadzony w X-ym pawilonie, gdzie w ciągu pół roku znosił głód, zimno i gwałty prowadzącego śledztwo. Sztabrotmistrz Pastrjulin widząc, że nie dowie się odeń niczego, co by mogło skompromitować innych, skakał do niego z kułakami, wymyślał, groził batami, nie pozwolił dać przechadzek i książek aż do skończenia śledztwa. Ze wszystkich tych katuszy Cerynger wyszedł nieugiętym, w niczem nie przyczyniając się do oskarżenia innych, zato odbiły się one bardzo na jego zdrowiu.

„Dnia 1 czerwca r. z. został przewieziony na Pawiak, gdzie pod wielu względami warunki były jeszcze gorsze. Nie chciano dlań przyjmować z domu mięsa i innych pożywniejszych pokarmów, a gdy o to prosił dr. Brzezińskiego, jak również i o to, by mu przepisał codzienne przechadzki, ten mu odpowiedział : „pan jesteś zdrowszy, jak ja“ ! i odmówił wszystkiego. Gdy w krótkim czasie C. zapadł silnie na gardło, cała pomoc lekarska ograniczyła się na dwukrotnem zalapisowaniu gardła !

„Dnia 25 września tow. C. został uwolniony i wziął się znowu z zapałem do pracy społecznej, lecz zrujnowane więzieniem zdrowie nie pozwoliło mu długo służyć dla społeczeństwa. Zmuszony iść do szpitala, a nie mogąc dostać się do innego, zapisał się do „Czerwonego Krzyża“. Tu dzięki niedbałości miejscowego lekarza choroba gardlana rozwinęła się ogromnie. Pozbawiony lekarstw, na które jakoby niestać „Czerwony Krzyż“, i źle żywiony chory na kilka dni przed śmiercią prosił, ażeby go wziąć ze szpitala. Pani Rosół, u której dawniej mieszkał, uczyniła zadość jego prośbie, gdzie po kilku dniach zakończył swe młode, 23-letnie, lecz tak już skołatane życie.

„Orszak pogrzebowy ze zwłokami tego męczennika idei wyruszył na miejsce wiecznego spoczynku 24 grudnia o godzinie 11-ej rano z ulicy Przemysłowej przy licznym udziale towarzyszy i towarzyszek. Od ulicy Wiejskiej przez Nowy-Świat i Krakowskie Przedmieście aż do samego grobu na Brudnie ciało wiernego bojownika za ideę proletaryatu nieśli towarzysze na swych barkach i uczcili jego pamięć, idąc wszyscy z odkrytemi głowami. Trumnę okrywały 2 wieńce z szerokiemi czerwonemi wstęgami, na których widniały napisy : „Ofierze idei“ i „Od towarzyszy pracy“.

Dnia 24 stycznia zmarł w szpitalu Dzieciątka Jezus zacny nasz towarzysz

Ułanowicz

razem z tow. Ceryngierem wypuszczony z Pawiaka i również ze zrujnowanem przez warunki więzienne zdrowiem. Licznie zebrani towarzysze i towarzyszki w dniu 29 stycznia odnieśli na swych barkach zwłoki swego wiernego towarzysza na cmentarz brudzeński. Trumnę okrywał wieniec z czerwonemi wstęgami z napisem : „Towarzyszowi idei“.

* * *

Tylc ciągle nowych ofiar ! Ofiary nikczemnego porządku społecznego, jak Helwig, którego niedostatek przyprawił o chorobę i o śmierć ; ofiary siepaczy carskich, którzy teraz systematycznie wypuszczają ludi z więzienia dopiero wtedy, gdy już nic im nie pozostaje jak umrzeć na wolności....

Cześć ich pamięci !

SPRAWY PARTYJNE

Poniżej podajemy doręczone nam w styczniu b. roku oświadczenie byłego Zarządu „Socyaldemokracyi Krolestwa Polskiego“. Połączenie, o którem ono donosi, nie od dziś się datuje. Już na jesieni roku zeszłego nasi towarzysze z S. D. K. P. stanęli z nami ręka w rękę do wspólnej walki o interesy proletaryatu polskiego. Lecz względy organizacyjne nie pozwoliły nam dotychczas podzielić się tą radosną nowiną z ogółem czytelników naszych. Dziś dawne przeszkody usunięte zostały i fakt dokonanego połączenia może i powinien być do publicznej wiadomości podany.

Niesnaski i waśnie partyjne, obecnie do przeszłości już tylko należące, nieraz w ostatnich latach odezwały się dotkliwie na rozwoju naszego ruchu robotniczego, niejedną też szkodę i stratę przypisać im musimy. Lecz ciosy ze strony wspólnego naszego wroga — rządu carskiego — nazbyt częste i wyraźne były, by w szeregach robotniczych utrzymać się mogły wątpliwości co do dróg i środków, jakie w walce z nim obrać należy. Wobec tych postępów naszego ruchu i jego potrzeb względy ambicyi i osobistości musiały zejść z widowni utarczek wzajemnych i dziś wszystkie czynne siły socyalistyczne stoją w jednym zwartym szeregu ożywione jednakiemi dążeniami, jednakiem poświęceniem się dla sprawy proletaryatu.

Fakt dokonanego połączenia, tak doniosły dla dalszego rozwoju naszego ruchu, jest nazbyt nam drogi, byśmy nie mieli też odezwać się i do wszystkich towarzyszy naszych z gorącem wezwaniem do jedności

i zgody. Niech chęć rozłamu i podszepty ludzi złej woli nie mają nigdy do nas przystępu! Stójmy zawsze wszyscy na straży naszej jedności organizacyjnej! Na krytykę i swobodną wymianę myśli jest dość miejsca w łonie naszej partyi, a wróg niech zawsze nas widzi — silnych jednością i zgodnem działaniem.

Centralny Komitet Robotniczy.

* * *

Niniejszem oświadczamy, że po porozumieniu się z całą naszą organizacyą w kraju postanowiliśmy połączyć się z Polską Partyą Socyalistyczną. Wobec tego od dnia dzisiejszego przestajemy występować jako oddzielna organizacya S. D. K. P., i nadal działać będziemy w ramach jednej organizacyi P. P. S., i według jej programu.

Warszawa 6 stycznia 1896 r.

ZARZĄD
Socyaldemokracyi Królestwa Polskiego

* * *

Przedrukowując powyższe z N° 13 „Robotnika", cóż możemy do tego dodać? Towarzysze z b. Socyaldemokracyi Królestwa Polskiego nie mogli znaleść lepszego sposobu na uczczenie 10-letniej rocznicy męczeństwa naszych bohaterów warszawskich, jak przyłączając się do jednej wielkiej armii świadomego proletaryatu polskiego, zgodnego co do celów i dróg na całym obszarze ziem polskich bez względu na rozdziały rządów zaborczych.

Jednocześnie z tem — jak widzą nasi czytelnicy — partya nasza przeszła jedną jeszcze próbę ogniową, i przeszła ją zwycięsko. Rząd moskiewski w bezsilnej swej wściekłości uciekł się do wypróbowanego środka masowych rewizyi i aresztów, ale — napróżno. Aresztу miały miejsce 3 lutego, a przynoszący nam o nich wiadomość N° 13 „Robotnika" nosi datę 9 lutego, i widzimy z niego, że wysiłek siepaczy rozbił się o sprężystą organizacyę naszą. Robota idzie dalej z tą samą siłą i powodzeniem... A każde takie zwycięskie starcie się z wrogiem tylko wzmacnia i hartuje kadry bojowe!

Dwojakie mogą być wypadki, kiedy nam, na emigracyi, oderwanym od walki oko w oko z wrogiem i mogącym tylko mrówczą pracą pomocniczą przyczyniać się do zwycięstwa naszego sztandaru, — boleśniej niż zwykle odczuć się daje nasze oddalenie od placu boju. Są to albo chwile wielkich porażek albo chwile zwycięstw i wielkich kroków naprzód. Pierwszych od trzech lat nie zaznaliśmy. Coraz częściej zato wieści radosne wstrząsają nas niecierpliwem wyglądaniem tej chwili, kiedy proletaryat polski w kraju napowrót powo a nas do szeregów czynnych, i coraz częściej na usta wybiega nam z siłą niepohamowaną okrzyk, powtarzany już dziś przez całą Europę robotniczą:

Niech żyje Polska Partya Socyalistyczna!

Bibliografia

Kalendarz Robotniczy na rok 1896. Nakład redakcyi czasopisma „Naprzód" w Krakowie i „Nowy Robotnik" we Lwowie. Cena egz. 26 ct., 50 fen., 60 centim., 6 d.

Znane to już robotnikowi polskiemu wydawnictwo towarzyszy galicyjskich i w tym roku — piątym istnienia — również gorąco polecić możemy czytelnikom. Wykaz polskich stowarzyszeń robotniczych obejmuje w samej Galicyi 69 grup (w roku zeszłym 50) w 29 miastach (w r. z. w 21 m.) Wykaz towarzystw pod zaborem pruskim i zagranicą jest dokładniejszy i kompletniejszy, niż w r. ub., a towarzystwa, których w nim niema, sobie winę powinny przypisać, jeśli swych adresów nie nadesłały. Nowym a bardzo pożądanym rysem jest dodany do zwykłego — kalendarz historyczny. Znakomity «poradnik prawniczy dla robotników» musi w Galicyi oddać niezmierne usługi. Biografia Engelsa, ozdobiona portretem i napisana przez tow. J. Daszyńskiego, «Słówko o drobnej własności rolnej» Dr. Z. D., «Religia a socyalizm» tow. H. T. Pokrzywy oraz «W pięćdziesięcioletnią rocznicę» powstania 1846 r. przez tow. B. Limanowskiego dają «Kalendarzowi» trwałą wartość agitacyjną; a w części beletrystycznej znajdujemy nowele: «La soif du divin!» Munckiego, «Dwojaka sprawiedliwość» F. Próchnikowej, «Nastrój balowy», Kiellanda i «Człowiek i muł» (bajka) Flürscheima oraz kilka poezyi. Co do pierwszej z nowel, to — nie ujmując bynajmniej nic jej wysokiej wartości literackiej — musimy zaznaczyć, że i pod zaborem rosyjskim mogła by ona być cenzuralną, w Krakowie zaś policya ją — skonfiskowała. Dzieją się w konstytucyjnej Austryi rzeczy dziwne! Cennym nabytkiem dla robotników polskich są umieszczone w kalendarzu — nuty i słowa «Marsylianki Robotniczej».

Towarzysze! Pamiętajcie o Polskiem archiwum socyalistycznem w Londynie!

Nie potrzebujemy tu raz jeszcze (patrz Przedświt N° 5 z 1893 r.) rozwodzić się nad koniecznością utworzenia kompletnego zbioru naszej literatury i wszelkich materyałów dla przyszłej historyi naszego ruchu. Nie potrzebujemy teraz już chyba przypominać, że jedynem miejscem, gdzie takie archiwum bezpiecznie przechowywać się może, jest — Londyn. Wystarczy, gdy zwrócimy uwagę towarzyszy, że nasze archiwum jest własnością partyi i znajduje się w pieczy Centralizacyi Z. Z. S. P. Musimy też wyjaśnić, że w naszem archiwum mogą i powinny znaleść się obok *polskich* wydawnictw socyalistycznych i rewolucyjnych również wydawnictwa bratnich partyi innych narodów. Powinniśmy nadto dążyć do wytworzenia możliwie bogatej *biblioteki* z wszelkich dzieł, mogących być pomocą w pracy literatom partyjnym. Niestety, dotąd towarzysze zamało pamiętają o swojem archiwum!

Obecnie poszukujemy dla archiwum **przedewszystkiem** N°N°: 3, 4, 5 i 6 „Bulletin de l'Egalité" (rok 1879).

N° 4 (a przynajmniej str. 5 i 6 tegoż) z roku III (1887) *Walki klas.*

N° 2 z roku IV (1885) *Przedświtu.*

N° 8 z 1893 roku *Naprzód* i

N° 4 z 1894 roku *Nowego Robotnika.*

Towarzysze! starajcie się o uzupełnienie tych braków.

Numer niniejszy składa się z czterech i jednej czwartej arkusza druku. Dla powetowania straty na podwójnym N° 10 — 11 załączamy bezpłatnie wszystkim abonentom jako dodatek świeżo wydaną broszurę K. Marksa „W kwestyi żydowskiej".

Printed & published by Al. Dębski. Beaumont Square N° 7 Mile End Rd. — London E.